

Warszawa, rok 2002

Edycja na prawach rękopisu

STANISŁAW ZALEWSKI - Wydarzenia i znaki czasu z lat

1939 – 1945

Dla Rodziny, Przyjaciół i Potomnych

1. Wojna

1 września 1939 roku. Ranek był pogodny. Nagle na niebie pojawiły się samoloty, do których zaczęła strzelać artyleria przeciwlotnicza. Ludzie mówili, że to chyba ćwiczenia. Huk spadających bomb i ryk syren alarmowych rozwiął złudzenie. To była wojna, którą czuło się już w sierpniu tego roku.

Na skwerach kopane były rowy przeciwlotnicze dla ludności. Odbywały się ćwiczenia cywilnych grup w ramach tzw. OPL (Obrony Przeciwlotniczej). Takie grupy były utworzone w każdym większym budynku. Uczono jak należy się zachowywać w czasie nalotów, w tym również używania masek przeciwgazowych i unieszkodliwiania bomb, a właściwie bombek zapalających. Ówczesne bomby miały wymiary dwóch obecnych dużych puszek od piwa. Po zrzuceniu i uderzeniu o ziemię paliły się jaskrawym płomieniem. Wystarczyło kilka łopat piasku do ich ugaszenia.

Były też instruktaże o pierwszej pomocy i sposobach bezpiecznego przechowywania żywności na dłuższy czas.

Ja zostałem wyznaczony na gońca z zadaniem przenoszenia meldunków i zadań w czasie działań obronnych grup OPL.

Na posesji przy ulicy Olszowej 6 na Pradze gdzie mieszkaliśmy, ustawiono gniazda karabinów maszynowych dostosowanych do zwalczania samolotów. Jedno takie stanowisko było również na dachu sąsiedniego budynku PKU (ówczesny odpowiednik RKU – Rejonowej Komendy Uzuppełnień). Bateria dział przeciwlotniczych, tzw. zenitówek, stała przy wejściu do Portu Praskiego.

W Warszawie począwszy od 1 września 1939 roku prawie codziennie słyszało się syreny alarmów przeciwlotniczych.

Ale życie toczyło się dalej.

2. UFO?

Było to 3 września 1939 roku. Tuż przed zachodem słońca stałem na placu porośniętym trawą, przy zbiegu ulic Panieńskiej i Szerokiej, przysłuchując się rozmowie gromadki dorosłych, którzy komentowali ostatnie wydarzenia i komunikaty wojenne. A szczególnie i bardzo optymistycznie fakt wypowiedzenia wojny Niemcom przez związanych sojuszem z Polską Anglię i Francję. Było bardzo ciepło, tego dnia pływałem jeszcze z chłopakami w Wiśle.

Nagle, bardzo wysoko, na zachodniej części nieba dały się zauważyć małe, powoli przemieszczające się obiekty. Jeden z nich miał kształt cygara, pozostałe były widoczne jak krążki. W poświacie promieni zachodzącego słońca miały srebrzystoszary kolor. Były

widoczne dość długo. Dorośli orzekli wtedy, że są to urwane z uwięzi balony zaporowe służące do obrony przed nalotami samolotów.

3. Pierwsze znaki czasu

Od najmłodszych lat panicznie bałem się burzy. Pierwsze jej zwiastuny w postaci grzmotów lub błyskawic powodowały, że biegłem do domu i chowałem się w odległym kącie, przykrywając się kocem lub pierzyną.

Tak było aż do czasu pierwszych nalotów bombowych na Warszawę we wrześniu 1939 roku. Huk eksplodujących bomb był wiele razy potężniejszy niż odgłosy burzy i spowodował, że przestałem bać się burzy i, o dziwo, również nalotów lotniczych. Sprawdziło się porzekadło, że strach przewycięża się strachem.

6 lub 7 września 1939 roku zaatakowały Warszawę eskadry nurkujących samolotów popularnie zwanych *sztukasami*. Samoloty te przy nurkowaniu przeraźliwie jazgotały, co w połączeniu z hukami bomb czyniło piekło na ziemi. Widziałem je bardzo wyraźnie. Celem ich ataku były mosty na Wiśle, a nasz dom znajdował się niedaleko mostu Kierbedzia (obecnie Śląsko-Dąbrowski). To nie odwaga, lecz choroba zmusiła mnie do siedzenia w rowie przeciwlotniczym, skąd był widok na Wisłę. Ta choroba to czerwonka, która od kilku dni gwałtownie się ujawniła i to do tego stopnia, że ledwo mogłem chodzić.

Mimo tego nalotu mosty stały nadal, a ogromne leje po wybuchach bomb widoczne były jeszcze bardzo długo.

Po tym nalocie Rodzina postanowiła opuścić Warszawę. Wyjechaliśmy pośpiesznie samochodem ciężarowym wraz z innymi osobami towarzyszącymi właścicielowi tego pojazdu.

Jechaliśmy na wschód. W Otwocku przymusowy postój w celu uzupełnienia paliwa. Ale to było już niemożliwe. Prowadzący samochód dokupił skrzynkę spirytusu rektyfikowanego i dolał do benzyny. Samochód mógł jechać dalej.

Drogi były zatłoczone cywilami, wojskiem i pojazdami. Za miejscowością Kałuszyn samochód wpadł do rowu i dalsza jazda była niemożliwa. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Dalej szliśmy na piechotę. Mnie ojciec niósł na plecach – nie mogłem już chodzić.

Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w niedużym lesie na odpoczynek. Rodzina poszła na zwiady do pobliskiej wioski. Ja zostałem w lesie, w którym gdzieś dalej, znajdowali się polscy żołnierze.

Byłem sam, siedziałem oparty o pień drzewa z wyciągniętymi nogami – nie miałem siły, aby je podkurczyć. Nagle nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły ostrzeliwać las z karabinów maszynowych. Widziałem nad sobą pikujące myśliwce. Jeden z nich wziął na cel drzewo, pod którym siedziałem. Posypały się liście strącane pociskami. Wokół mnie słyszałem charakterystyczne plaśnięcia uderzających o ziemię pocisków.

Nie wiem, dlaczego, ale nie bałem się wtedy, może to wpływ choroby, czekałem na trafienie mnie - pomyślałem - „Oby tylko nie w nogi!”. Ale nic się nie stało. Całe to wydarzenie „coś” zapowiadało, ale jeszcze nie wiedziałem, „co”!

Atakujące samoloty odleciały. Powróciła Rodzina i ruszyliśmy dalej, ja oczywiście na plecach ojca. Zatrzymaliśmy się w gospodarstwie na skraju wsi, która nazywała się Sinołęka. Życzliwi gospodarze użyczyli nam schronienia. Mnie zrobiono poślanie w stodole na pachnącym sianie.

Leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, wdychałem zapachy łąki. Te zapachy, a może coś innego, spowodowały, że w moich myślach pojawił się obraz Zbyszka wiozącego córkę Juranda do Spychowa.

Gdy przejeżdżali przez łąkę, dotąd nieprzytomna ocknęła się i rzekła„kwiecie pachnie” ... i usnęła na zawsze („Krzyżacy” Henryka Sienkiewicza - znałem już wtedy także całą Trylogię).

Nastrój ten został przerwany świstami i wybuchami pocisków artyleryjskich. Znaleźliśmy się pomiędzy polskimi i niemieckimi stanowiskami ogniowymi. Nad zabudowaniami, przeraźliwie gwizdząc przelatywały pociski. Tak jak i pod tamtym drzewem – nie bałem się.

Powoli zanikała moja świadomość. Jeszcze jak przez mgłę widziałem przebiegających przez podwórze polskich żołnierzy i straciłem przytomność. Podobno leżałem tak bardzo długo i Rodzina przygotowywała się, aby mi sprawić pochówek – tak mi później powiedziano.

Stopniowo powracałem do zdrowia. W następstwie przebytej choroby wypadły mi wszystkie włosy z głowy i przez jakiś czas byłem prawie łysy. Żałowałem bardzo, gdyż miałem ładne kręcone się włosy jak u murzynka.

4. Powrót do Warszawy

Była już druga połowa października 1939 roku, gdy wynajętą furmanką przyjechaliśmy do Warszawy. Mieszkanie i znajdujący się w nim dobytek były względnie całe. Doglądali ich starszy brat i siostra, którzy pozostali w mieście i przetrwali oblężenie.

W czasie jazdy musieliśmy ustępować drogi niemieckim oddziałom wojska i przystawać na punktach kontrolnych żandarmerii. Czekać na wolny przejazd, obok nas zatrzymała się na postój kolumna żołnierzy z Wehrmachtu. Wywiązała się nawet rozmowa – wielu żołnierzy znało język polski. Powiedzieli, że gdyby żył „Dziadek”(J. Piłsudski) to wojny by nie było, poza tym rozmowa była przyjazna. Któż mógł przypuszczać, że w następnych miesiącach rozpocznie się już planowy i celowy terror okupanta.

Powróciliśmy i od razu smutek. 31 października 1939 roku zmarł najstarszy brat Janek, ciężko ranny odłamkami pocisku armatniego w czasie oblężenia Warszawy. Wszyscy byliśmy na pogrzebie. Nie wiem, dlaczego, ale nie mogłem płakać.

Skromne zapasy żywności przywiezione ze wsi szybko się skończyły i głód zajął nam w oczy. Starsi dowiedzieli się, że w porcie stoją barki z żywnością i natychmiast udali się na „organizację”. Efektem było zdobycie kilku wiader słodkiego soku i kilku worków ryżu. Były to nasze podstawowe i jedyne artykuły żywnościowe przez parę miesięcy. Żałuję, że nie przyszedł mi wtedy do głowy pomysł napisania książki kucharskiej na temat tego, co można przyrządzić z ryżu i soku.

W październiku rozpoczynano nauczanie w szkołach. Moja Szkoła nr 51 na ulicy Szerokiej legła w gruzach trafiona bombą lotniczą, stąd na lekcje chodziłem do innego budynku na tej samej ulicy. Uczono już wtedy obowiązkowo języka niemieckiego.

5. Majsterek

W lutym 1940 roku z uwagi na ciężką sytuację rodzinną przerwałem ostatni rok nauki w Szkole Powszechnej i poszedłem do pracy do warsztatu samochodowego - Cz. Kozikowski na ulicy Waliców, to jest na terenie ówczesnego żydowskiego getta.

Warsztat przejęty przez Niemców naprawiał samochody wojskowe. Dostałem specjalny dokument tożsamości, tzw. Ausweis, przepustkę na wejście do getta i, co najważniejsze, dodatkowe kartki na żywność.

Mając lat 18, nabyłem tam umiejętności naprawiania zespołów i mechanizmów, a szczególnie silników ówczesnych samochodów. Warsztatowcy nadali mi przezwisko „Majsterek”. Stało się to za przyczyną mojego brata Józefa (zmarł 23.06.1982 roku mając 63

lata), który był tam już znanym mechanikiem (rozpoczął pracę przed 1939 rokiem) i to On wciągnął mnie do pracy. Powiedział wtedy: „Nie patrz gnojku, że to są Niemcy, ale ucz się fachu, gdyż to przyda ci się w życiu”. Miał rację! Od tamtego czasu do dnia dzisiejszego jestem związany z motoryzacją.

Z tego warsztatu 8 lutego 1944 roku (tj. 5 miesięcy po moim aresztowaniu) żołnierze Komendy Głównej Armii Krajowej podstępem wyprowadzili samochód pancerny.

6. Getto

Żydowskie getto w Warszawie to wstępna klasa obozu koncentracyjnego. Widziałem ludzi tak wychudłych, że wyglądali jak szkielety obciążone skórą. Widziałem jak upadali na ulicy, aby się już więcej nie podnieść. Widziałem wyciągnięte chude ręce i głęboko zapadłe oczy, proszące bez słów o pomoc.

Działały sformowane przez Niemców policja żydowska i starszyzna getta. Jedni i drudzy musieli wykonywać drastyczne polecenia okupanta.

Spotykałem także Żydów odżywionych i dobrze odzianych. W naszym warsztacie za zgodą Niemców pracowało kilku żydowskich prominentów. Zwracali się do nas, aby im przynosić ze strony aryjskiej szynkę i bułki.

Brat Józef miał specjalne powiązania i przemycał do getta paszporty wystawione przez przedstawicielstwo Argentyny. Do końca życia nie chwalił się tym, a tajemnicę kontaktów w tej sprawie zabrał ze sobą do grobu. Ja nosiłem do getta tylko żywność.

Kiedyś uległa awarii sprężarka do pompowania opon. Znajdujący się w warsztacie żołnierz wylapywał mężczyzn i nakazywał gumową pałką szybko ręcznie pompować oponę. Jak taki nieszczęśnik upadał ze zmęczenia, zastępował go następnym.

7. Amulet

W 1943 nasiliły się bombardowania Warszawy przez samoloty rosyjskie.

Byłem spokojny i powolny (ferajna nadała mi przezwisko „Mamut”), aż do czasu jednego z nocnych nalotów. Po ogłoszeniu alarmu wszyscy schronili się w piwnicach, a ja stałem na otwartej przestrzeni obserwując smugi świetlne i rozbłyśki pocisków niemieckiej obrony przeciwlotniczej oraz błyski eksplodujących za Wisłą bomb (mieszkałem na Pradze).

Nagle usłyszałem świst! Poczułem gorąco na twarzy i coś uderzyło na ziemię. Długi, ostry odłamek przeciwlotniczego pocisku ważący ok. 0,5 kg upadł tuż przed noskami moich butów. Był bardzo gorący. Od tego czasu nie byłem już tak powolny, a odłamek pocisku jak amulet przechowywałem w mieszkaniu.

Określenie amulet jest tu chyba najwłaściwsze gdyż było to już drugie spojrzenie „kostuchy” w moim kierunku, niestety nie ostatnie! Obecnie myślę, że chciała mnie ona przyzwyczaić do dalszych takich sytuacji. Tylko, kto ją do tego nakłonił?

8. Czterech na literę „S”

Zima roku 1939/1940 była mroźna, a przy tym naprawdę głodna. Nie było dostaw węgla, skąpe zapasy szybko zostały wyczerpane. Z konieczności wszystko, co się mogło palić było skrzętnie z różnych miejsc zbierane lub wręcz zabierane, np. drewniane parkany, kawałki drewnianych podłóg, ram okiennych i mebli wybieranych z ruin domów. Dotkliwie odczuwaliśmy brak treściwej żywności, chleb był wtedy rarytasem. Bywały dni, że jadłem tylko jeden skromny posiłek. Instalacje wodociągowe i elektryczne były uszkodzone. Ale wszyscy wzajemnie sobie pomagali. Zaczęto domowymi sposobami wyrabiać lampy

oświetleniowe na karbid. W lampach naftowych spalano między innymi benzynę („kombinowaną” od Niemców) z różnymi dodatkami dla zapobieżenia przed wybuchem. Wykopane zostały również studnie. Najbliższa była na ulicy Brukowej, pomiędzy Wisłą a ulicą Jagiellońską.

W takich to warunkach nawiązywała się i krzepła koleżeńska przyjaźń. Z przedwojennej ferajny wyodrębniła się nasza paczka: trzech Staśków i jeden Stefan (ten ostatni został zamęczony w obozie koncentracyjnym Gusen w marcu 1944 roku).

Mieliśmy zwyczaj spotykania się w umówionych miejscach. Na takie spotkania przynosiliśmy to, co dostaliśmy w domu do jedzenia, na przykład jabłko, kromkę chleba, kawałek placka upieczonego na płycie kuchni. Każdy z tych wiktuałów był dzielony na cztery równe części, po czym jedliśmy powoli i w milczeniu.

Pisząc te słowa mimo woli pojawia się w mojej świadomości obraz dzielenia chleba w obozie. Czyżby ten koleżeński zwyczaj był „znakiem czasu” lub proroczą przepowiednią?

Razem chodziliśmy nad Wisłę, na spacer, razem łowiliśmy ryby. Razem spotykaliśmy się z dziewczynami. Żelaznym tematem była sprawa naszego udziału w oporze wobec terroru okupanta. I tak jednocześnie, mając po 17–19 lat, wstąpiliśmy do Związku Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa). Dostaliśmy się do grupy dywersyjno-propagandowej. Mieliśmy kryjówkę na Pradze przy ulicy Szerokiej. Ja wybrałem sobie pseudonim „Wiktor”.

Zadania były różne, między innymi:

- rozdawanie gazet z tytułami o zwycięstwach Niemiec, podające w treści artykułów prawdziwe wiadomości,

- roznoszenie różnych ulotek, mających na celu podtrzymanie na duchu ludności Pragi,

- malowanie napisów na murach ruin domów np. „Pawiak pomścimy”, symbole Polski Walczącej,

- wywieszanie flag polskich w mało dostępnych miejscach, w rocznicę przedwojennych świąt państwowych. Ostatnia taka akcja, która na trwałe pozostała w mojej pamięci, miała miejsce 11 listopada 1942 roku.

Ponownie zobaczyłem polską flagę dopiero 5 maja 1945 roku, w dniu wyzwolenia obozu w Gusen.

Pracując w warsztacie samochodowym, przy udziale innych działających w konspiracji mechaników, dokonywaliśmy w naprawianych zespołach i mechanizmach samochodów pewnych zabiegów, które po przejechaniu paru tysięcy kilometrów, powodowały ich awarię. Były to wyłącznie samochody przeznaczone na front wschodni. Sposoby były finezyjne, wręcz niemożliwe do wykrycia w warunkach frontowych.

Działaliśmy dwójkami – ja ze Stefanem oraz dwu Staśków. Z tej paczki przeżyło wojnę trzech Staśków, jeden z nich zmarł tragicznie po zakończeniu wojny.

23 dni na Pawiaku

1. Do widzenia Mamo!

Nadszedł pamiętny do dziś dzień 12 września 1943 roku. Wychodząc wieczorem, przed godziną policyjną, na nocną konspiracyjną zbiórkę, spotykam na podwórku Matkę.

– „Dokąd idziesz Stachu?” – pyta

– „Do widzenia Mamo!” – odpowiadam niefrasobliwie,

– „Nie wróć aż za dwa lata! Aż się wojna skończy.”

Spojrzała na mnie w zadumie i bez słów odeszła. Wypowiedziane do Matki słowa, okazało się, że ostatnie, będę pamiętał do końca życia. Od tego wydarzenia minęło już 59 lat, a ja nadal zadaję sobie pytanie, co kierowało mną, że tak proroczo odpowiedziałem?

Ranek 13 września 1943 roku. Wspólnie ze Stefanem wykonujemy ustalone zadanie. Niespodziewanie nadziewamy się na patrol żandarmerii niemieckiej i „stało się”!

Doprowadzono nas na posterunek żandarmerii na ulicy Szerokiej (w dawnym młynie). Później trzymano nas w zamknięciu w budynku Dyrekcji Kolejowej na ulicy Targowej. Stamtąd odkrytym samochodem ciężarowym pod eskortą czterech żandarmów przejechaliśmy w Aleję Szucha do siedziby Urzędu Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, którego jednym z wydziałów było osławione *Gestapo*. W suterenie tego budynku były cztery zbiorowe cele i kilka izolatek. Bez okien, zamknięte od strony korytarza stalowymi kratami. W każdej celi były dwa rzędy ławek ustawionych tyłem do wejścia. Obowiązywał zakaz rozmów i odwracania się. Cele te zostały nazwane „tramwajami”.

W takiej celi przesiedzieliśmy całe popołudnie i noc. Widok i jęki skatowanych podczas przesłuchania współwięźniów potęgowały panującą grozę i niepokój.

Następnego dnia odbyło się przesłuchanie. Najpierw perswazja, a później zmyślne bicie – szczęśliwie bez trwałych obrażeń cielesnych. Trzymaliśmy się uzgodnionej ze Stefanem wersji zeznań.

Około południa wraz z innymi więźniami zostaliśmy zawiezieni specjalnym samochodem, zwanym pospolicie „budą”, do więzienia Pawiak na ulicy Dzielnej 24/26.

2. Pawiak

Sposób przyjęcia do więzienia to były różne szykany i poniżenie ludzkiej godności.

Ja i Stefan jeszcze raz byliśmy wiezieni „budą” na ponowne przesłuchanie z Pawiaka na Szucha. Szczęśliwie i tym razem skończyło się tylko na profilaktycznym biciu. Sądząc po ruchu w budynku i jękach katowanych ludzi, mieli chyba ważniejsze sprawy od naszej i stąd według mnie, mieliśmy „ulgową taryfę”. A może to Opatrzność?

3. Kwarantanna

Początkowo przebywałem w celi przejściowej tzw. „kwarantannie”. Kilkunastu więźniów w małej klitce, spanie na tym, co było kiedyś siennikiem rozłożonym na betonowej podłodze. Czasami nie starczało tego pośłania dla wszystkich. Ilość więźniów w celi zmieniała się. Moi współtowarzysze to: oficer rosyjski, który zbiegł z obozu jenieckiego; były polski marynarz floty handlowej; ludzie różnego pokroju z ulicznych łapanek, członkowie organizacji konspiracyjnych, którzy zostali wysypani lub wpadli w akcji i dziesięciu kilkunastoletnich chłopców z harcerskiej organizacji Szare Szeregi. Nazywano ich „Dziesięciu z Pawiaka”.

Po drugim przesłuchaniu przeniesiono mnie na Oddział do kilkuosobowej celi na piętrze i pozwolono na wysłanie w języku niemieckim karty pocztowej:

„ Moja Kochana Matko!

Raz na miesiąc można do mnie przesłać paczkę żywnościową o wadze 2 kg poprzez 7 Komisariat Policji Polskiej. Proszę o przesłanie ciepłej bielizny.

Kochana Matko, można do mnie pisać cztery razy w miesiącu, ale tylko w języku niemieckim. Oczekuję od was listu.

Pozdrowienia i ucałowania dla wszystkich

Stasiek”

Stempel pocztowy na karcie jest z datą 28.09.1943.

Wiem, że Rodzina po otrzymaniu karty przygotowała i nadała paczkę. Ale nie zdążyła ona do mnie dotrzeć, bo 5 października 1943 znalazłem się w transporcie do Oświęcimia.

4. Nocne udręczenia

Zadowolenie, jeżeli to tak można określić, z faktu przeniesienia mnie na Oddział rychło zamieniło się w koszmarne udręczenie. Zmęczeni w ciągu dnia różnymi szykanami, zaraz po wieczornym apelu zasypialiśmy. Nie na długo! Głośny stukot wojskowych butów na korytarzu podrywał wszystkich na pryzkach. Kroki ustawały. Zgrzyt otwieranych zamków i zasuw. Padały nazwiska i komenda – Wychodź! Rzeczy nie zabierać! Po odejściu esesmanów z więźniami zapadała głucha cisza, pozostali wymawiali szeptem: czapa lub rozwałka. Po pewnym czasie na potwierdzenie tych słów słychać było dalekie odgłosy wystrzałów z broni maszynowej.

Ledwie zdążyliśmy odetchnąć z ulgą i ponownie zasnąć, znów rozlegał się stukot wojskowych butów. Z lękiem nadsłuchiwaaliśmy, przy której celi się zatrzymają? Dalej tak jak za pierwszym razem. Wychodzący i ci, co pozostawali żegnali się spojrzeniami. I znów oczekiwanie na odgłosy wykonania wyroku. Powtarzało się to nieraz kilka razy w ciągu nocy! Była to jedna z sadystycznych metod znęcania się nad więźniami.

5. Obórka

Po rannym apelu więźniowie byli wypuszczani kolejno z poszczególnych cel do ubikacji – tzw. „obórka” (zniekształcone słowo z carskich czasów „uborka”). Więźniowie oprócz załatwiania własnych potrzeb fizjologicznych i umycia się musieli opróżnić i oczyścić, wzięte z celi, kibel i miskę oraz napełnić dzbanek wodą, a umywalek było kilka. Po kilku minutach wszyscy musieli wracać do celi. Wszystko to odbywało się przy popędzaniu i krzykach wachmajstrów.

Któregoś dnia ja i jeszcze jeden z więźniów nie wyszliśmy na „obórkę”. Dojrzał to wachmajster – Ukrainiec i pyta: „A wy, co? Nam się nie chce – odpowiedzieliśmy. No to wam się zachce!”

Po zakończeniu „obórki” całego Oddziału wywołano nas dwóch z celi na korytarz i zaczęła się „gimnastyka”, skakanie żabek, padnij-powstań, chodzenie na łokciach i kolanach itp. Po godzinie takiej gimnastyki ledwo dowlekliśmy się do celi. Od tego czasu zawsze „nam się chciało”.

Podobne ćwiczenia były stosowane za faktyczne oraz wymyślone przez wachmajstrów wykroczenia.

6. Pchły i pluskwy

Dodatkowym czynnikiem potęgującym udrękę więzienną były pchły i pluskwy w ilościach niespotykanych na wolności.

Pluskwy to bardzo zmyślne insekty. W ciągu dnia czaiły się w niedostępnych dla nas zakamarkach, aby w nocy napadać na ludzi. Nieświadomi tego, rano na ciele mieliśmy liczne krwawe plamki, ślady ukąszeń. Nie pomagało szczelne zawiązywanie nogawek, rękawów i kołnierzyków bielizny. Pluskwy sprytnie zawsze znajdowały jakąś szczelinę i dobierały się do ciała. Zastosowaliśmy „fosy” – pod nogi prycz wstawialiśmy nasze miski napełnione wodą, ale wtedy pluskwy wchodziły na sufit i spadały celnie na odsłoniętą część ciała.

Walka z insektami była utrudniona, gdyż w nocy nie paliło się w celach światło, a wyłączniki były na korytarzach.

7. Świerzb

W więzieniu mimo terroru i ciągłego widma śmierci działała konspiracja, ta polityczna i więziarska. Ta ostatnia miała na celu podtrzymywanie na duchu i stosowanie wybiegów dających na jakiś czas wytchnienie.

Doświadczyłem tego osobiście. Jeden z zaprzyjaźnionych więźniów „postarał się”, abym zaraził się świerzem.

Chorzy na świerzb przebywali w oddzielnej celi, do której nikt z administracji więzienia nie wchodził. Oddzielnie chodziło się na „obórkę”. Jedzenie i lekarstwo podawano przez okienko w drzwiach. Byliśmy jak trędowaci.

Niestety, „laba” nie mogła trwać długo. Do zwalczania świerzbu podawano siarkowe smarowidło, którego nie można było „upłynnić” – cęła była bez okna, sprawdzano też, czy nie jest wylewane do kibla. Stąd po około 5 dniach swobody, wyleczony wychodziłem na Oddział. Ale zachowałem zdolność przekazania świerzbu innym.

Ta cęła zawsze miała i musiała mieć „pacjentów”.

8. Transport

Po powrocie ze „świerzbowego sanatorium” zwanego przez więźniów „krecą” (nie wiem, skąd ta nazwa), a było to na początku października 1943 roku, dał się odczuć ruch na oddziałach. Funkcyjni więźniowie poinformowali, że szykuje się duży transport.

Rzeczywiście, 5 października 1943 roku wieczorem więźniowie zostali wyprowadzeni z cęły i zgrupowani w wyznaczonych pomieszczeniach. Następnie po dokonaniu rewizji, wyprowadzeni na zewnątrz i ładowani do „bud”, a potem zawiezieni na dworzec kolejowy i wpędzeni do krytych wagonów towarowych. Temu wszystkiemu towarzyszyły wrzaski i ponaglenia przy wsiadaniu do wagonów.

Pociąg składał się z kilkudziesięciu wagonów, w tym platformy z karabinami maszynowymi i wagonów osobowych dla eskorty.

Jazda trwała więcej niż dobę. Ścisk w wagonie był tak duży, że tylko cęść więźniów mogła siedzieć w kucki, reszta stała. Jeżeli ktoś wstał, to na jego miejsce siadał stojący i tak przez całą drogę. Zaduch okropny. Dwa małe okratowane okienka nie wpuszczały dostatecznej ilości powietrza. Potrzeby fizjologiczne załatwiane były w jednym z narożników wagonu. Następnej nocy na bocznicę, poza stacją kolejową, otworzono drzwi wagonów i przyniesiono wodę w kotłach, ale dla wszystkich nie wystarczyło.

Znający trasy kolejowe więźniowie ustalili, że jedziemy w kierunku Krakowa. Było jasne. Wiozą nas do Oświęcimia, do osławionego obozu koncentracyjnego, miejsca zagłady ludzi przez „nagludzi”.

31 dni w Oświęcimiu -.Brzezince (Auschwitz – Birkenau)

1. Machina zagłady

Noc! Niebo zasnute chmurami, jak gdyby nie chciało widzieć tego, co się będzie działo.

Bocznica kolejowa. Z wagonów wypędzono żywych, martwych wyniesiono, z naszego wagonu również. Kolbami karabinów ustawiono więźniów w piątki. Kolumna ruszyła w kierunku widocznych w oddali świąteł. Przemęczeni podróżą w potwornych warunkach i przerażeni „powitaniem”, więźniowie potykali się i upadali odrazu, jakich nie szczydziła eskorta. Wyczerpanych, którzy nie mogli nadążyć „zachęcano” do marszu biciem. Wielu szło siłą woli, wspierali ich lub ciągnęli inni. Kto upadł, był dobijany.

Tak w ciemną i mglistą październikową noc przekroczyliśmy bramę obozu Oświęcim Brzezinka.

Po wejściu na teren obozu upchnięto nas w obszernym baraku, gdzie „przywitał” nas funkcyjny więzień – Żyd:

„Panowie z Pawiaka, szadajcie!” I tak przesiedzieliśmy na podłodze aż do rana. Później: rejestracja, strzyżenie, kąpanie, tatuowanie – otrzymałem numer 156569. Zabrano cywilne ubrania i wydano „pasiaki” i drewniaki.

Byłem zdziwiony – większość funkcyjnych więźniów, którzy nas obsługiwali to Żydzi.

Po tym wszystkim skierowany zostałem wraz z innymi na blok, który był usytuowany tak, że widać było rampę kolejową i krematorium. Widać było również sąsiadujące, odgródzone drutami kolczastymi baraki dla kobiet i Cyganów.

2. Wożeni i idący do krematorium

Któregoś październikowego dnia, nie pamiętam dokładnie daty, „nie wypędzono” nas do „pracy”, głównie do robót porządkowych, rozładunku wagonów z materiałami budowlanymi.

Po porannym apelu, w części obozowej dla kobiet zaczął się ruch.

Wszystkie kobiety narodowości żydowskiej ustawiono w jednym miejscu i kazano im się rozebrać do naga, natomiast pozostałe zostały zamknięte w barakach. Podjechały samochody ciężarowe. Nagie kobiety wpędzono na odkryte skrzynie ładunkowe ciężarówek, które wyjeżdżając z bramy obozu kierowały się w kierunku krematorium.

Dla kobiet jadących w samochodach i stojących nago na placu ujawniła się przerażająca prawda – zostaną zagazowane!

Pisząc te słowa, w podświadomości „słyszę” ponownie rozdzierające krzyki i jęki, „widzę” gesty rozpaczliwych kobiet stojących na placu i tych wiezionych na stracenie. Te, które wyskakiwały lub wypadały z samochodów, były zabijane przez uzbrojoną eskortę jadącą na motocyklach za samochodem.

Wożenie kobiet trwało kilka godzin. Po czym wszystko ucichło. Nastąpiła martwa cisza. Tylko intensywny dym wydobywający się z komina krematorium mówił o tym, co się wydarzyło.

„Mowę” tego dymu znali wszyscy więźniowie.

Byłem również świadkiem podobnego wydarzenia, ale w innej „oprawie”.

Przy rampie kolejowej zatrzymał się pociąg z wagonami osobowymi tzw. pulmanami, z których wysiedli dobrze ubrani Żydzi z walizkami. Nieświadomi tego, co ich czeka, poprawiali ubrania i otrzepywali kurz z walizek. Ustawiono ich w szeregi i poprowadzono w kierunku krematorium. Szli spokojnie bez oznak niepokoju. Po pewnym czasie wydobywający się z komina dym „powiedział” nam, co się stało z tymi ludźmi. Później dowiedzieliśmy się, że byli to Żydzi z Holandii i Belgii.

Zmorą obozową były, tzw. selekcje. Po wieczornym apelu przed stojącymi na baczność z odkrytymi głowami więźniami przechodził *blockführer* (opiekun bloku) z pisarzem, bacznie obserwując więźniów. Jeżeli któryś wyglądał na „muzułmanina” był wskazywany kijkiem, a pisarz zapisywał jego numer. Po kolacji (składającej się z kromki chleba i plasterka wędliny lub łyżki twarogu albo marmolady), wywoływano tych więźniów, formowano w szeregi i odprowadzano na piechotę do krematorium. Szli z otepiałym wyrazem twarzy, powłócząc

nogami obutymi w drewniane trepy. Przygarbieni ciężarem własnych rąk. Istny pochód żywych szkieletów. A później tylko dym z komina krematorium.

3. Dzielenie chleba

Na gołych deskach pryczy spało po pięciu więźniów mając tylko dwa koce. Stąd przewracanie się w nocy odbywało się na komendę. A to dlatego, że z braku miejsca wszyscy mogli spać tylko na jednym boku. Piątkami też podchodziło się do wydającego wieczorne racje żywnościowe. Najcenniejszy był chleb. Jeden bochenek na pięciu. Brał go jeden z piątki – środkowy. Pozostali tworzyli półkole, w środku którego był ten, co otrzymał chleb (manewr obronny przed zabraniem chleba). I tak wszyscy trzymając się za ręce szli do własnej pryczy. Tam na kawałku papieru z worka od cementu, jeden z więźniów pod baczynym okiem pozostałych kroił chleb na 5 porcji. Metody dzielenia były różne, bo podłużny bochenek miał dwie przylepki.

Osobna sprawa to „noże”, którymi krojono chleb. Posiadanie noża było zabronione, ale chleb musiał być podzielony. Stąd te narzędzia były bardzo różne i bardzo zmyślne, a przy tym przechowywane w różnych miejscach.

Okruszki pozostałe po rozkrojeniu chleba były skrzętnie zbierane i sprawiedliwie dokładane do poszczególnych kromek.

Teraz następował akt rozdawania. Ten, który kroił odwracał się tyłem do pozostałych tak, że zasłaniał sobą pokrojony chleb. Brał do ręki jedną z kromek i nie odwracając się pytał: „Dla kogo?” Natomiast wybrany z pozostałej czwórki więzień, wskazywał tego, któremu ma być dana ta kromka chleba. „Obdarowani” brali chleb i pozostawali na miejscu aż do końca rozdawania. Oświęcimską kromkę chleba zjadało się od razu całą lub na raty z namaszczeniem i z uwagą, by czyjaś wychudła ręka nie chciała jej zabrać. Była też obozową walutą, za którą można było dostać na giełdzie obozowej coś innego. Palacze całą lub połowę wymieniali na papierosy – ci bardzo szybko „muzułmianieli”.

Po takiej kolacji odbywało się tzw. „gotowanie”, czyli omawianie sposobów przyrządzania potraw. Wygłodzeni myśleliśmy tylko o jedzeniu.

4. Kolejny transport

W pierwszych dniach listopada w czasie wieczornego apelu sprawdzano numery więźniów. Wczytany przez pisarza stawał na baczność, a *blockführer* lustrował go wzrokiem. Po czym coś krótko mówił do pisarza. Starsi więźniowie powiedzieli, że szykuje się transport. Nadzieja na poprawę kazała pokazywać, że jest się w dobrej kondycji fizycznej, gdyż to warunkowało wpisanie do transportu.

Następnego dnia zakwalifikowanych zgromadzono w wydzielonych barakach, gdzie po umyciu wydano świeżą odzież i całodzienne racje żywnościowe. W baraku było tak ciasno, że można było tylko siedzieć na podłodze. Zamknięte drzwi i okna powodowały ogromny zaduch powodujący omdlenia. Jakimś sposobem udało się otworzyć pokrywę dachu. Do tego otworu podchodziło się kolejno, aby chwilę poodychać świeżym powietrzem.

Noc miała się ku końcowi, gdy załadowano nas do krytych wagonów towarowych. Pociąg ruszył, a więźniowie pokrzepiali się myślą, że będzie lepiej.

545 dni w Mauthausen, Gusen I i Gusen II

1. Z Oświęcimia do Mauthausen

Po opuszczeniu Oświęcimia nastroje znacznie się polepszyły, mimo że w wagonie nie było zbyt luźno. Ale w porównaniu z jazdą do Oświęcimia, to była „salonka”. Eskorta – dwóch młodych żołnierzy SS jechała razem z nami – siedzieli przy drzwiach. Od nich dowiedzieliśmy się tylko tyle, że jedziemy do Austrii.

Połowę drogi przejechaliśmy w dość znacznej swobodzie, można było chodzić – żołnierze pozwolili nawet śpiewać. Chwilowo śpiewy były nawet dość głośne. Dlaczego? To okazało się później, gdy pociąg ruszył dalej po dłuższym postoju na bocznicę kolejowej w Wiedniu. Zmieniała się eskorta, liczono więźniów. Dwóch brakowało! Liczono kilkakrotnie – wynik taki sam, brakuje dwóch! Żołnierze eskorty odkryli w jednym z naroży wagonu poluzowane deski – tędy uciekli!

I rozpętało się piekło.

Najpierw było ponowne liczenie, tym razem przy użyciu kolb pistoletów maszynowych – liczono wielokrotnie, każdemu dostała się solidna porcja razów. Następnie dochodzenie wśród tych, którzy głośno śpiewali w tym narożu (dla zagłuszenia odgłosów wrywania desek). Każdego z nich biła cała eskorta wagonu. Ale oni tylko pomogli w ucieczce, nic nie wiedzieli o zbiegach.

Wyselekcjonowano trzech. Jeden miał pasek przy spodniach. Na tym pasku zamocowanym do haka w dachu wagonu, powieszono Go, przy czym pasek dwa razy się zrywał. Pozostałych pobito do nieprzytomności – zmarli przed końcem podróży.

Na stacji kolejowej w Mauthausen wypędzono z wagonów żywych. Martwych i niezdolnych do chodzenia wynieśliśmy i położyliśmy na peronie. Widok był przerażający. Posiniaczeni, z krwawiącymi ranami. Na ubraniach zakrzepła krew. Obwisłe ręce i ugięte nogi mówiły o trwałych urazach.

Po ponownym przeliczeniu dołączyliśmy do reszty więźniów. Kolumna ruszyła w kierunku obozu. Martwych i rannych niesiono na końcu.

W taki sposób przekroczyłem bramę obozu w Mauthausen 6 listopada 1943 roku.

Po dwóch dniach pobytu przeznaczonych na kąpiel w zimnej wodzie i rejestrację – wydano nam tylko koszulę, kalesony i drewniane trepy.

Tak ubrani, eskortowani przez esesmanów szliśmy w pochmurny i zimny listopadowy dzień do obozu w Gusen, oddalonego około 5 kilometrów. Wycieńczeni jazdą z Oświęcimia i zimną kąpielą w Mauthausen nie wszyscy nadążali w marszu. Było to dla eskorty pretekstem do bicia i popychania, maszerujący przewracali się. Kto nie mógł się podnieść o własnych siłach był bity, a właściwie to dobijany. Takich nieśli więźniowie na końcu kolumny.

Ten marsz po górskiej i krętej drodze, na której wielu zostało, był zapowiedzią tego, co będzie naszym udziałem w Gusen, gdzie więźniowie nadali nam nazwę „kalesonowego cugangu”.

Komendant Mauthausen i przynależnych podobozów *Standartenführer SS* Franz Ziereis, ujęty przez polskich więźniów i amerykańskich żołnierzy, tak między innymi zeznał na przesłuchaniu 24 maja 1945 roku:

„Transport 2500 więźniów z Oświęcimia przybył do Mauthausen i został na rozkaz Berlina w zimie kąpany na placu apelowym zimną wodą. Transport ten musiałem wysłać do Gusen, a nie miałem dla niego żadnego ubrania oprócz kalesonów i koszul. Prosiłem o ubrania dla więźniów, otrzymałem jednak odpowiedź z Berlina, że więźniów, jeśli nie ma dla nich ubrań, można nawet nago wysłać do Gusen”

(J. Osuchowski, Gusen – Przedsiębiorstwo Piekła)

2. Gusen – Przedsionek Piekła

Tak zatytułował swoją książkę wydaną w 1961 roku wieloletni więzień tego obozu Jerzy Osuchowski. Zamiast własnego opisu, obóz, do którego i ja się dostałem, cytuję z tej książki rozdziały:

„Nad pięknym, modrym Dunajem...” i „Rozkład dnia”.

Nad pięknym, modrym Dunajem...

„Na lewym brzegu Dunaju, między Wiedniem a Linzem, w malowniczej okolicy leży miasteczko Mauthausen, od którego wziął nazwę obóz koncentracyjny zbudowany na wzgórzu odległym od miasta o niecałe 5 km.

Przed wojną Mauthausen było nikomu nieznaną miejsciną. W czasie wojny nazwa ta stała się synonimem kaźni. Był to obóz „trzeciej kategorii”, obóz wyniszczenia.

Obóz w Gusen, położony przy szosie Mauthausen – Linz w pięknej dolinie Dunaju, stanowił jedną z większych filii Mauthausen.

Od strony południowej przylegał on do szosy Mauthausen – Linz, za którą, dalej na południe, ciągnęła się szeroka równina kończąca się widocznymi w pogodne dni potężnymi sylwetkami Alp austriackich. Tak wyraźnie rysujący się na horyzoncie widok gór, aczkolwiek wspaniały, napawał więźniów strachem, był, bowiem nieomylną zapowiedzią deszczu w najbliższych dniach, a więc dodatkowej udręki, w czasie deszczu robót nie przerywano. Od północy i wschodu okalały obóz skaliste granitowe wzgórza – kamieniołomy Kastenhofen i Gusen. Od zachodu zamykało horyzont sterczące daleko, zalesione wzniesienie Pfenning Berg.

Sam obóz był prostokątem o wymiarach 360 x 150 m. Pierwotnie otaczał go drewniany płot z ośmiu wieżami strażniczymi, po cztery wzdłuż każdego dłuższego boku. Płot ten zastąpiono później murem wysokości trzech metrów. Liczbę wież zredukowano do pięciu z tym jednak, że wieżę przy bramie wejściowej zastąpił budynek komendantury z celami więziennymi (bunkry), tzw. *Jourhaus*. Pomiędzy wieżami przeznaczonymi dla strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe stały posterunki z ręcznymi karabinami. Strażnicy na wieżach i pomiędzy nimi stanowili tak zwany mały łańcuch posterunków – *kleine Postenkette*. W obrębie otoczonego murem prostokąta postawiono drugie ogrodzenie, z drutu kolczastego naładowanego stale prądem wysokiego napięcia, na które często posyłano lub przemocą rzucono skazanych na śmierć.

Obóz dzielił się na dwie części: niezabudowaną i zabudowaną. W niezabudowanej odbywały się trzy razy dziennie apele: rano, w południe i wieczór. Część ta nazywała się placem apelowym lub żartobliwie „placem apelacyjnym”. Była ona również miejscem kaźni. Tu wymierzano publicznie karę chłosty, (co najmniej 25 kijów). Tu też zmontowano później szubienicę na słupie latarni. Na słupie tym wisiał również dzwonek obwieszający, jak głosiła wypisana na nim dewiza, początek wszystkich poczynań:

*Ob Tag, ob. Nacht,
Stets mit Bedacht
Der Glocke Ruf erklingt.
- Ein Zeichen,
Deine Pflicht beginnt.*

(Czy w dzień, czy w noc, zawsze celowo rozbrzmiewa dzwonu głos. To znak, że rozpoczyna się twój obowiązek).

Plac apelowy – prostokąt o wymiarach 150 x 75 m – zajmował południowo-wschodnią część obozu. Do niego, od strony kamieniołomu Kastenhofen, przytykał duży barak – kuchnia dla więźniów. Jesienią 1942 roku zbudowano w południowej części placu, przy kuchni, tuż obok *Jourhausu* domek „specjalnego przeznaczenia”, oficjalnie zwany, Sonderbau, a popularnie *puff* (dom publiczny).

Wczesną wiosną 1944 roku plac apelowy został zmniejszony prawie o połowę przez dobudowanie nowych bloków mieszkalnych – A,B,C,D przylegających ściśle do dotychczasowych bloków 2,3,4,5. Konieczność dobudowania tych baraków podyktowana była zapotrzebowaniem na coraz to nowe siły robocze dla rozrastającego się przemysłu zbrojeniowego obsługiwanego przez więźniów.

Część zabudowana obejmowała trzydzieści dwa baraki rozmieszczone w czterech szeregach, po osiem w każdym. Pomiedzy barakami pozostawiono ulice szerokości 6 metrów.

Każdy barak, długości 53 metrów i szerokości 8 metrów, podzielony był na dwie izby: A i B oraz dwa mniejsze pomieszczenia, powszechnie zwane kapufami, umieszczonymi w środku, a przeznaczonymi: jeden dla starszego bloku – blokowego, drugi dla sekretarza bloku – pisarza; w kapufach mieszkali również starsi izby – sztabowi, a czasami i fryzjerzy. Ci ludzie, to znaczy blokowy, pisarz, dwóch sztabowych i fryzjer, stanowili obsadę bloku.

W pierwszym i trzecim szeregu między barakami wykopano w początkowym okresie, kiedy obóz nie był jeszcze całkowicie zakończony, doły dwumetrowej głębokości i pięciometrowej długości, przeznaczone na latryny – jedna na cztery bloki (około 1600 ludzi). W drugim rzędzie zainstalowano prowizoryczne umywalnie (cztery na cały obóz), przy których wykopano głębokie doły, jako rezerwuary na wodę do mycia podłóg, służące równocześnie do topienia więźniów.

Jesienią 1940 roku ukończono budowę umywalni i ustępów, które stały w poprzek baraków mieszkalnych między pierwszym a drugim i trzecim a czwartym rzędem. Każdy blok miał otrzymać własne umywalnie i ustępy. Niestety, tego się więźniowie nie doczekali. Niektóre pomieszczenia higieny sanitarnej przebudowano na krematorium połączone z trupiarnią i prosektorium. Na miejsce innych zaprojektowano budowę łaźni obozowej, którą wykończono dopiero na wiosnę 1943 roku. Do tego czasu zwiślały tam tylko prowizorycznie rozmieszczone natryski z zimną wodą, co szumnie nazywano „łaźnią”. Do niej pędzono dwa razy na tydzień wieczorami cały obóz, blokami, po kolei; tam, pod gołym niebem, obojętnie czy śnieg czy mróz, trzymano skostniałych z zimna więźniów przez pół godziny.

Późną wiosną 1941 roku rozebrano baraki 6, 7 i 8. Na ich miejscu zaprojektowano dwa murowane budynki, w których miała się mieścić łaźnia, pralnia, dezynfekcja itp. Brak materiałów budowlanych zmusił kierownictwo obozu do wstrzymania robót w momencie, kiedy ściany wznosiły się do wysokości pierwszego piętra. W takim niedokończonym stanie przetrwały one aż po jesień 1943 roku, kiedy oba budynki zostały wykończone w przyspieszonym tempie, aby dać pomieszczenie więźniom napływającym coraz większymi falami. Tak powstały na nowo bloki 6 i 7 zamieszkałe wyłącznie przez więźniów zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym.

W czasie, kiedy murowane bloki nie były jeszcze wykończone, rozstrzelano tu skazanych na śmierć więźniów. Później wyroki śmierci przez rozstrzelanie wykonywano tuż koło krematorium i miejsce to zostało ze wszystkich stron osłonięte.

Ostatni kompleks bloków, tj. baraki od 25 do 32, nie służył, jako pomieszczenie dla więźniów. W bloku 25 mieścił się magazyn odzieżowy oraz warsztat szewski i krawiecki. Baraki od 26 do 32, odgródzone drutem kolczastym, przeznaczono na szpital obozowy, zwany tu rewirem.

Rozkład dnia

Życie w obozie rozpoczynał dzwonek o godzinie 5 rano. Dźwięki jego nie zdążyły przebrzmieć, a na blokach już wrzało. Przerażliwe *rraus* podrywało wszystkich na nogi.

Pierwszą udrękę stanowiło „zrobienie łóżka”, co przy ustawicznej ciasnocie i ograniczonym czasie było sztuką nie lada. Trzy sienniki złożone jeden na drugim służyły za podstawę. W siennikach należało poruszyć słomę, w górnym zaś rozprowadzić ją równomiernie, aby uniknąć „wzgórz i dolin”. Drażkiem wypychało się kanty siennika, przez co powstawał graniastosłup przykrywany następnie kocami. I tu fantazja czy względy praktyczne nie pozwalały na dowolność. Graniastosłupy – kostki, jak je nazywano, musiały być znormalizowane i wszystkie musiały mieć jednakowy wygląd. Prawdziwe łóżka, trzypiętrowe, drewniane zaczęto wprowadzać stopniowo począwszy od późnej jesieni 1940 roku.

Zasłanie poszczególnych łóżek i ich wyrównanie nie mogło zajmować zbyt wiele czasu, na więźniów czekały, bowiem jeszcze inne obowiązki, a ponadto nigdy nie było wiadomo, czy łóżek nie trzeba będzie słać po kontroli po raz drugi.

Wiele czasu zabierało również umycie się, a właściwie czekanie na dostęp do umywalni. Przy nielicznych kranach stały długie ogonki. Od czasu do czasu na dźwięk krótko rzuconego słowa *weg* (precz) cała gromada czekających się rozprasała. Szedł Niemiec. Ten musiał mieć dużo wolnego miejsca. Sąsiednie krany sączyły się niewykorzystane, ale nikt nie miał odwagi z nich skorzystać. Mycie się stanowiło dla więźniów dodatkowe źródło udręki jeszcze z innych względów. Rozlewana przed umywalnią woda tworzyła na miękkim, gliniastym gruncie kałuże i bajora. Starannie wyczyszczone buty grzęzły i oblepiały się grubą warstwą błota, co znowu było powodem do szykan przy wejściu na blok po zupełną, jak również przy rannej zbiórce do apelu. W drzwiach wejściowych stał blokowy i kontrolował wchodzących. Nieumytym odmawiał zupy porannej.

Wszystkim wymienionym czynnościom towarzyszyły krzyki blokowych, sztabowych i kapów przeklinających, że wszystko idzie powoli. Przynaglano, więc kijem.

Najprędzej musieli być gotowi ci, których zadaniem było przynosić ranną zupełną z kuchni tzw. kostregerzy. Do sprawowania tej funkcji wybierał blokowy zawsze ludzi najsilniejszych, ponieważ noszenie ciężkich 20-kilogramowych kotłów z zawartością 50 litrów jedzenia wymagało zdrowych chłopów.

Po umyciu się rozdawano zupełną. Pół litra na osobę. Początkowo wydawaniem jej zajmowali się blokowi osobiście, później przekazali to sztabowym.

Śniadanie, podobnie jak obiad, wydawano na dworze. Czasem robiono to w izbie, zależnie od humoru blokowego. Jeśli wydawano je w bloku, więzień po otrzymaniu porcji wychodził na ulicę, co miało stanowić gwarancję, że nie podejdzie do kotła dwa razy. Gdy kogoś przychwycono na braniu drugiej porcji, bito go w straszliwy sposób, a często nawet zabijano. Pomimo tych morderczych kar wypadki pobierania podwójnych porcji były na porządku dziennym.

Po śniadaniu rozpoczynało się mycie podłóg. Było to zadaniem niewielkiej grupki ludzi (8 do 10), wybranych w celu utrzymania w bloku porządku. Do obowiązków ich należało zamiatanie i szorowanie podłogi oraz ścieranie kurzu na półkach i belkach.

Mycie podłogi związane było z wielkimi trudnościami ze względu na brak wody, którą trzeba było nosić aż z placu apelowego, ponieważ główne kurki dopływowe przy umywalniach były już o tej porze zakręcone, a jedyna na cały obóz studnia znajdowała się koło kuchni. Tłok, przepychanie się, deptanie po słabszych, krzyki, rwetes, bijatyka nieodłącznie towarzyszyły rannemu nabieraniu wody. Zdenerwowany kapo kuchni wypadł

jak rozjuszony byk i „zaprowadzał porządek” znanymi metodami. Rozbite głowy, połamane ręce, posiniaczone ciało – oto owoc troskliwości o czystość bloku.

Nie lepiej działało się w izbie. Zdarzało się, że wybrani na porządkowych, szczotkę lub ścierkę mieli w ręce po raz pierwszy w życiu, praca, więc szła im oczywiście nieporadnie. Blokowego doprowadzało to do furii. Drażkiem od szczotki lub pięścią przyuczał, jak trzeba szorować. Pierwszemu z brzegu wyrwał ścierkę i demonstrował osobiście, jak trzeba się z nią obchodzić. Nieszczęsny „uczeń” wychodził z tej lekcji pokryty guzami i krwawymi sińcami.

Plaga mycia podłogi w obozie stawała się jakąś tragiczną obsesją. Myto codziennie, niekiedy dwa razy na dzień, zwłaszcza w dni słotne, gdy powracający na obiad więźniowie brudzili izbę. Jesienią i zimą podłoga nie wysychała całymi tygodniami, stawała się tylko z każdym dniem ciemniejsza – nikt nie silił się, więc, aby ją umyć do czysta. Polewano ją po prostu wodą, a następnie miejsca, co bardziej mokre wycierano ścierką. Na takiej mokrej podłodze rozkładało się wieczorem sienniki.

Nie zawsze starczało czasu, aby sprawdzić czy porządek zrobiony w izbie odpowiadał wymaganiom. Niekiedy trzeba było zostawić niedokończoną robotę i śpieszyć się na zbiórkę do apelu.

Na kilka minut przed wyruszeniem na plac (godz. 6.30), rozlegało się donośne *antreten* (zbiórka) – hasło do zbiórki. Więźniowie każdego bloku ustawiali się dziesiątkami i wyrównane szeregi ruszały na plac apelowy, gdzie każdy blok stawał na wyznaczonym miejscu. Przygotowanie do apelu kończyło się sprawdzeniem przez blokowych obecności swych ludzi oraz wyrównaniem szeregów wzdłuż i w głąb.

Apel nie zawsze odbywał się bezpośrednio po tych przygotowaniach. Na zjawienie się esesmanów, którzy sprawdzali stan obozu, często trzeba było czekać 15 do 20 minut. Apel przyjmował zasadniczo kierownik obozu, któremu *Raportführer* (starszy podoficer odpowiedzialny za porządek w obozie i jego stan ilościowy), meldował liczbę więźniów obowiązującą przy danym apelu. Do tego dodawał liczbę zmarłych.

Sprawdzenie bloków należało do *Blockführerów* – niższych rangą podoficerów, pełniących rolę „opiekunów” bloków. Odbywało się to w ten sposób, że każdy blokowy stawał przed frontem i dawał komendę:

Stall gestanden, Augen rechts (Baczność, na prawo patrz), po czym w postawie zasadniczej recytował przed *Blockführerem* następującą formułkę:

Ich melde dem Blockführer gehorsamst Block...zum Morgenappell angetreten. Soll: 400, Revier: 10, Kommandiert: 1, ist 389

(Melduję posłusznie blockführerowi blok... zebrany do apelu porannego: ma być: 400, z tego w szpitalu: 10, komenderowany: 1, jest: 389; za komenderowanych uważano takich, którzy za względu na ważne czynności służbowe nie byli obecni przy apelu).

Na placu musiało być tylu więźniów, ilu podawano, jako obecnych. Sprawdzenie było zadaniem *Blockführera*. Zgadzać musiało się wszystko, co do jednego człowieka. Po obliczeniu wszystkich bloków, *Raportführer* składał ogólny meldunek kierownikowi obozu. Dawał na cały głos komendę: *Häftlinge, Mützen ab* (Więźniowie zdjąć czapki), energicznym krokiem podchodził do *Lagerführera* i meldował stany. Komenda *Mützen auf* (Włożyć czapki) była znakiem, że apel zakończono.

Tuż za tym rozkazem padał każdego dnia rano inny: *Arbeitskommando formieren!* (Formować komendy pracy). Na ten znak, jakby, kto kij wetknął w mrowisko...5000 ludzi wzajemnie się potracając, przewracając jeden drugiego, w gorączkowym pośpiechu tłumem rzuca się tam, gdzie mniej biją – byle dostać się do jakiejś lepszej komendy. Początkowo, bowiem przydział pracy nie odbywał się w sposób zorganizowany. Każdy mógł sobie zasadniczo wybrać tę, którą chciał, z wyjątkiem pewnych nielicznych komend fachowców.

Wszyscy jednak musieli pracować. Biada temu, kogo przychwycono w obozie wążającego się bez zajęcia!

Ustawianiem grup do pracy zajmowali się teraz kapowie odpowiednich komend. Oni dobierali sobie ludzi, wyrывая ich często z innych, już ustawionych kolumn. Zbywających im odrzucali. Natychmiast rozchwytywali ich inni kapowie, którym brakowało ludzi. Krzyki, bieganina, bicie, pośpiech stopniowo ustawały. Następował wymarsz do pracy.

Przy bramie wyjściowej stał kierownik prac z grupą esesmanów, dowódców komend pracy. Każdej wyruszającej grupie przydzielano jednego esesmana, jako dowódcę oraz eskortę obliczoną w stosunku jeden do dziesięciu. Po dojściu na miejsce pracy eskorta pełniła rolę posterunków. Obecny przy wymarszu był *Lagerführer* i *Raportführer*.

Liczbę wychodzących poza obóz więźniów skrupulatnie notowano w specjalnej księdze, którą prowadził podoficer dyżurny siedzący za okienkiem *Jourhaus'u* w bramie wyjściowej.

Kolejność wymarszu poszczególnych grup była ściśle ustalona. Kapo każdej komendy, maszerując na czele, dawał komendę: *Mützen ab, im Gleichschritt, marsch* (Czapki zdjąć, równym krokiem marsz) i podchodząc do bramy meldował podoficerowi dyżurnemu nazwę komendy i liczbę więźniów. Przechodzących piątkami liczono w bramie.

I sunęły, kolumna za kolumną, długie szeregi w codzienną znojną pracę...

Po przejściu ostatniej piątki zamykano bramę. Rozpoczęła się praca.

O godzinie 12 w południe, na dźwięk dzwonka, wszystkie komendy, z wyjątkiem nielicznych pracujących daleko, wracały do obozu. Po przejściu bramy, na hasło „rozejść się” rozsypywały się regularne dotąd kolumny. Każdy pędził na miejsce, gdzie jego blok zbierał się do apelu południowego, po którego skończeniu można było dopiero odmaszerować na obiad.

Obiad składał się z litra (rzadko kiedy pełnego) zupy, w początkowym okresie dość gęstej, zasypywanej jakąś kaszą. Ze spożyciem należało się śpieszyć, gdyż godzinna przerwa obiadowa obejmowała: apel, rozdawanie i spożycie jedzenia, umycie miski i ustawienie się z powrotem do pracy. O odpoczynku nie było, co marzyć. Za ledwie zdążyło się umyć miskę, już rozlegał się dzwonek, po którym wszystkie komendy musiały natychmiast ustawić się do pracy, jak rano.

Często, gdy z takich lub innych powodów apel się przedłużał, więźniowie nie mieli nawet czasu zjeść całej porcji. Trzeba było zostawić niedojedzoną miskę, (co znowu stwarzało powód do szykan za niechlujstwo) i pędzić na plac, tym bardziej, iż na spóźniających się czekali między barakami blokowi i poganiaли kijami. Ciasne ulice wylotu na plac nie mogły pomieścić tak wielkiej liczby biegnących. Poganiani z tyłu pędzili więźniowie na łeb na szyję, chroniąc się przed razami już to przyspieszonym krokiem, już to omijaniem w miarę możliwości „najgorętszych” miejsc.

Wollt ihr laufen, ihr faulen Hunde, ihr Drecksäcke (Czy będziecie biegli wy leniwe psy, wy gnoje) – grzmiało donośnie ze wszystkich stron. Krzyki te przygłuszały nawet tętent pędzących po kamieniach drewnianych, niewygodnych chodaków. Zdezorientowani bezmyślnym naganianiem ludzie nie wiedzieli, co czynić. Powtarzał się proceder poranny: bieganie, ustawianie grup, odliczanie, wymarsz.

Po południu z utęsknieniem wyczekiwało się znaku zakończenia robót. Na głos dzwonka zwołującego na apel uczucie ulgi wypełniało serca. Zakończony dzień pracy!

Czy dziś po apelu będzie spokój? Czy przy apelu kogoś nie zabraknie? Czy nie trzeba będzie ćwiczyć przez godzinę, a może i dwie *Mützen ab, Mützen auf*? Czy na bloku nie wymyślą jakiegoś „sportu”? Nieprzewidzianych karnych ćwiczeń? Jakie szykany czekają po powrocie? – oto pytania, które mąciły radość i niepokoiły.

Apel wieczorny był bardziej urozmaicony niż dwa poprzednie. Trwał też z reguły dłużej, gdyż czekano, aż wszystkie komendy powrócą z pracy. Wymęczeni, głodni, wlokący się ostatkiem sił, podpierani przez mocniejszych kolegów, ciągnęli więźniowie noga za nogą. Na

końcu niektórych komend niesiono zmarłych i zabitych przy pracy. Tych układano przy macierzystym bloku, w błocie lub kałuży, zależnie od pogody, nieraz po kilku obok siebie. Przecież do apelu musieli „stanać” wszyscy! Liczono ich jeszcze, jako żywych.

Truchlały serca, gdyż po szeregach rozeszło się: „kogoś brak”. Widmo całonocnego stania na zimnie i o głodzie majaczyło przed oczyma. Nieobecnego szukano tak długo, dopóki go nie znaleziono. W tym czasie więźniowie czekali. Dopiero po odnalezieniu zbiega mógł się odbyć apel.

Po apelu *Lagerführer* wydawał jeszcze pewne zarządzenia, jeszcze wykrzykiwał groźby. Nikomu nie wolno było opuścić placu apelowego, dopóki nie padła najmilsza dla ucha komenda: *Blockweise abrücken* (Blokami odmaszerować). Wtedy dopiero więźniowie, w równych szeregach, jak na paradzie wojskowej, odchodzili. Biada, jeśli ktoś załamał szeregi! Dzikie okrzyki blokowych *Saubande* (Banda świń) i pogróżki o ćwiczeniach marszowych towarzyszyły aż do baraku. A gdy uwaga na zły szyk szeregów lub na nierówny krok padała od stojących jeszcze przy bramie esesmanów, można było być pewnym, że ćwiczenia nie ominą bloku. Odbywały się one przeważnie w niedzielę. Najbardziej błahy powód: zły odmarsz z placu, źle wyrównane szeregi, nie równocześnie zdjęte czapki przy komendzie *Mützen ab* wystarczył, aby cały obóz ćwiczył całymi godzinami, a niekiedy przez całe niedzielne przedpołudnie. Aby więźniowie nie próżnowali w ten dzień, wolny w pierwszych latach od pracy, atmosferę pod przyszłe ćwiczenia przygotowywano już mniej więcej od piątku. Od piątku do niedzieli wszystko jakoś szło gorzej niż w inne dni tygodnia.

Po powrocie z apelu przed barakiem trzymał normalnie dłuższą mówkę blokowy. Piorunował, wymyślał, że „łóżka” źle zrobione, miski niestaranie umyte, że on na każdym kroku narażony jest na uwagi przełożonych za niedopilnowanie porządku; groził ukaraniem 25 kijami. Wszystko to było obliczone na to, by jego ludzie mieli przed nim respekt, by się go bali i starali się robić wszystko jak najlepiej. Przemówienie takie kończyło się krótkim *wegtreten* (Rozejść się).

Jeszcze nieco czasu zajmowało czyszczenie z błota butów. Wreszcie można było wejść do baraku. Na stole przy wejściu leżał przygotowany chleb, na nim porcje kielbasy. Z wydawaniem czekano aż wszyscy zbiorą się na sali. Ustawionych trójkami liczono w celu uniknięcia pomyłki przy rozdawaniu. Po chleb podchodziło się trójkami. Pierwszy z trójki odbierał półtora kilowy bochenek i trzy plasterki kielbasy, dwóch następnych trzymało się blisko niego, by go nie stracić z oczu i być obecnym przy podziale, na co więźniowie zwracali szczególną uwagę dokładając wszelkich starań, aby części były jak najrówniejsze. Do chleba dostawało się pół litra herbaty z jakichś Niemcom tylko znanych ziółek.

Ponieważ w początkowym okresie w obozie nie było ani stołów, ani stołków, kolację spożywało się siedząc na podłodze między „łózkami” lub na „łózkach”. Wieczorem dozwolona była pewna swoboda. Zaraz po kolacji można było rozkładać sienniki i przygotowywać się do snu. Większość skwapliwie korzystała z tego i po całodziennej ciężkiej pracy natychmiast szła spać.

Nie wszyscy jednak kładli się zaraz po kolacji. Jedni wychodzili odwiedzić kolegów zamieszkałych w innych barakach, drudzy wyruszali na polowanie za „dymkiem”, pozostali wreszcie, a tych było coraz więcej, zajmowali się gorliwie notowaniem przepisów kucharskich, omawianych szczegółowo w ciągu dnia przy pracy. „Gotowali”! Mania ta, znajdująca psychologiczne usprawiedliwienie, nabierała w sile w miarę jak głód dawał się coraz bardziej we znaki. Na zdobyty z trudem, przeważnie z worków z cementu, papier rzucano istne poezje sztuki kulinarnej. Delektowano się tymi smakołykami, które „moja żona musi specjalnie dla mnie zrobić”. Wygłodzeni, myśleli tylko o jedzeniu.

Rozmowy i lekturę recept przerywał pierwszy dzwonek, który zwoływał wszystkich do bloku. Po nim nie wolno było już pokazywać się na ulicy. W pół godziny później, o godzinie 21, rozlegał się drugi dzwonek, sygnał gaszenia światła i bezwzględnej ciszy.

Budził i do snu układał dzwonek.

Gdybyż to była pewność, że noc minie spokojnie!

Zaraz po dzwonku, gdy pogasły światła, rozpoczynali swe nocne urzędowanie blokowi, kapowie i ich pomocnicy. Pod rozmaitymi pozorami wyciągali z góry upatrzone ofiary, zapędzali pod umywalnie i topili w specjalnie do tego przeznaczonym dole. Ofiarą padali najniewinniejsi ludzie, ludzie młodzi, wartościowi, pełni sił żywotnych. Wystarczyło, że twarz ich nie podobała się panu i władcy – blokowemu. Zmarli „na atak serca”, jak im wpisywano później w dowodzie zgonu.

Przerażeniem napawały również częste nocne wizyty *Lagerführer'a* Chmielewsky'ego. Pijany wpadał ze swoją świtą przyboczną do obozu, aby dać folgę swym sadystycznym instyktom. Sam osobiście rozdzielał pejczem razy na prawo i lewo, strzelał, a wierna gwardia nie tylko mu sekundowała, ale starała się go prześcignąć.”

3. Karta personalna więźnia

W archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu znajduje się opatrzona nr inw. 101125 i syng. D-Mau-3a/28315 „*Häftlings – Personal – Karte*” dotycząca mojej osoby. W karcie tej między innymi są następujące zapisy o pobycie w obozie Gusen:

- 6.11.1943 zarejestrowany w Mauthausen, jako więzień przybyły z Birkenau (Oświęcim – Brzezinka),
- od 8.11.1943 do 18.12.1943 - Kwarantanna (w Gusen),
- od 10.01.1944 do 19.08.1944 - jako *Facharbeiter* przydzielony do *Arbeitskommando Rü Messerschmitt*,
- od 19.08.1944 do 5.05.1945 – jako *Automechaniker* przydzielony do komanda *Bergkristall* (Gusen II).

Objaśnienia:

- Kwarantanna: 2 lub 3 tygodniowy początkowy okres pobytu w obozie w wydzielonych blokach, w czasie, którego eliminowano więźniów chorych i niezdolnych do pracy.
- *Kommando* (Komando): grupa robocza więźniów.
- *Rü Messerschmitt*: pełna nazwa *Messerschmitt AG betriebene Rüstungsproduktion*; produkowano tam, między innymi kadłuby i płyty do samolotów myśliwskich Me-100 oraz rakiet V2
- *Bergkristall*: kryptonim podziemnej fabryki kadłubów do odrzutowych samolotów myśliwskich Messerschmitt Me-262, zlokalizowanej w miejscowości St. Georgen. Były to pierwsze na świecie myśliwce o napędzie odrzutowym.
- *Automechaniker*: mój zawód w chwili aresztowania (mechanik samochodowy).

4. Kwarantanna

Kwarantanna to czas pobytu w obozie bezpośrednio po przybyciu. W tym okresie, różnymi metodami eliminowano spośród przybyłych więźniów chorych i niezdolnych do pracy.

Według Karty Personalnej Więźnia moja kwarantanna trwała urzędowo od 08.11.1943 do 18.12.1943 roku.

Dostałem się do obozu w okresie, kiedy ustało (na razie), bezmyślne szafowanie ludzkim życiem. III Rzesza potrzebowała taniej siły roboczej dla przemysłu zbrojeniowego. Obok

obożu było już kilkanaście hal firmy STEYER DAIMLER-PUCH, w których więźniowie pracowali przy produkcji części do broni maszynowej oraz hale naziemne i podziemne Zakładów Messerschmitt, w których również pracowali więźniowie. W pobliskim St. Georgen na początku 1944 roku rozpoczęto budowę podziemnej fabryki zbrojeniowej Zakładów Messerschmitt.

Oficjalnie zabroniono wszystkim kapom i blokowym bicia więźniów, ale w praktyce, mimo zakazów, nie mogli się ci bandyci pozbyć dotychczasowych nawyków. Nawrót do poprzednich praktyk nastąpił na przełomie lat 1944/1945, w miarę narastania frontowych niepowodzeń Niemców.

Ubranie moje, tak jak i innych więźniów, składało się z bielizny, spodni, marynarki, okrągłej czapki i trepów, to jest „butów”, mających tylko drewnianą podeszwę i tak zwaną „kapkę” na przednią część stopy. Były też buty całe z drewna – saboty lub holenderki.

Był czas, kiedy drewniaki stały się w Polsce modnym obuwem. U mnie jednak ich widok, a szczególnie stukot, natychmiast przywoływał wspomnienia obozowych okropności.

Włosy na głowie więźnia były dość często strzyżone, a od czoła do karku na szerokość maszynki była wygolona ścieżka zwana „sztrajfą”. Na przegubie lewej ręki nosiliśmy przywiązany drutem kawałek blaszki z wybitym numerem obozowym, tzw. „numerki śmierci”, służące do identyfikacji umarłych. Z czasem rozwinęło się wytwórstwo tych numerków. Im bardziej „zamożny” był więzień, tym ładniejsza była bransoletka i oprawa numeru. Udało mi się „zorganizować” kawałek skózanego paseczka, do którego „dokupiłem” za papierosy aluminiową blaszkę z wrytym numerem.

Dodatkowo numer więźnia był wypisany na kawałku materiału przyszytym na lewej górnej części marynarki. Obok numeru czerwony trójkąt wierzchołkiem do dołu i litera „P”, co oznaczało, że jestem więźniem politycznym – Polakiem.

Otrzymałem numer 4491, który w styczniu 1944 roku został zastąpiony numerem 45332.

W czasie kwarantanny, wraz z innymi więźniami, byłem zatrudniony przy różnych pracach między innymi związanych z rozbudową obozu. Pracowałem też w kamieniołomach, gdzie nosiłem kamienie do obozu lub do młyna, który rozkruszał je na kawałki dowolnej wielkości.

Noszenie kamieni to była cała udręka obliczona na wyniszczenie ludzi. Szło się, a właściwie to biegło, bo kapowie ciągle popędzali kijami. Długi szereg ludzi rozciągał się od miejsca łupania kamieni w górnych partiach kamieniołomów, aż do miejsca składowania kamieni, to jest do młyna lub obozu. Słabsi, którym dozorczy umyślnie podstawiali nogi, upadali, a niesiony kamień przygniatał ich. Takich bardzo często dobijano kijami. Kamień musiał być odpowiedniej wielkości, a tych, co wybierali mniejsze bity i zmuszano do wzięcia większego. Z czasem sprytniejsi zaczęli stosować swoistą technikę noszenia kamieni. Wybierało się kamienie płaskie, które wyglądały na duże. Przed nadzorcą umiejętnie ustawiało się kamień i pozorowało uginanie się pod jego ciężarem.

Nadszedł czas Bożego Narodzenia. Blokowy urządził nam w Wigilię tego święta kąpiel w zimnej wodzie mówiąc, że musimy być na Święta czysti. Zostaliśmy nago wpędzeni pod wiatę z natryskami. Uciekających spod lodowatej wody blokowy polewał przy pomocy gumowego węża. Zziębnięci i mokrzy przybiegliśmy do baraku, aby się ubrać i nieco ogrzać. Jak było dalej, nie pamiętam – biała plama w mojej pamięci! Później już po wyzwoleniu dowiedziałem się, że pod nieobecność blokowego odbyła się w naszym baraku wigilijna miniszopka zorganizowana przez jednego z więźniów z mojego transportu. Między innymi na melodię „Przybieżeli do Betlejem” zaśpiewano:

„Przybieżeli do obozu górami
Tysiąc gołych wystukując trepami
Wśród skał na wysokościach

Do Gusen przybyli”

Jest to przyczynek do tzw. „kalesonowego cugangu”, w którym byłem również ja.

Dziwna rzecz, takich „białych plam pamięciowych” mam więcej. Jednocześnie bardzo dobrze pamiętam inne wydarzenia obozowe.

5. Arbeitskomando *Rü Messerschmitt*

Od stycznia do sierpnia 1944 roku byłem włączony do komanda więźniów zatrudnionych w Zakładach Messerschmitt. Początkowo pracowałem w tzw. kolumnie transportowej, gdzie w prymitywny sposób przesuwalimy do hal produkcyjnych maszyny i urządzenia do produkcji kadłubów i płatów do samolotów Messerschmitt M-109 i rakiet V2.

Następnie przydzielono mnie do montażu kadłubów w oddziale produkcyjnym w tak zwanej sztoli, tj. tunelu wykonanym w zboczu góry z piaskowca. Znalazłem się w grupie produkcyjnej złożonej z Francuzów i mimo trudności w porozumieniu się szybko staliśmy się sobie bliscy – niedola i bieda zbliża ludzi. Ja mówiłem do nich po polsku, a oni do mnie po francusku, w ten sposób powstał zasób słów niezbędnych do porozumiewania się.

A oto pamiętne wydarzenia z tego okresu pracy w tym komandzie:

Lekcja pokazowa

Było to na początku mojej pracy w komandzie. Po przetransportowaniu za pomocą wspólnie ciągniętego wózka wyznaczonej ilości maszyn, mieliśmy chwilę oddechu. Wykorzystując to, szedłem przez długą na kilkadziesiąt metrów halę, w której majstrowie cywilni ustawiali maszyny. Zmierzałem w kierunku wysokiego pieca w końcu hali z zamiarem dyskretnego wyjęcia zeń nanizanych na drut, „zorganizowanych” uprzednio, ziemniaków. Po drodze musiałem przejść obok stolika, za którym siedziało dwóch nadzorujących pracę esesmanów. Przed tymi „panami” należało przechodzić marszowym krokiem z odkrytą głową i rękoma przyłożonymi do bioder. Tak też postąpiłem. Po ominięciu stolika zostałem zawrócony do ponownego przejścia z uwagą, że poprzednie było nieprawidłowe.

Przechodząc powtórnie obok stolika, potknąłem się o celowo w tym momencie wysuniętą nogę jednego z esesmanów. Padło sakramentalne *Halt!*, po czym ten, który wysunął nogę, podszedł do mnie i z rozmachem uderzył mnie w twarz. Cios był silny. Zachwiałem się mocno, ale nie upadłem. I to był mój błąd! Natychmiast wstał od stolika drugi i naciągając rękawiczki rzekł do poprzednika: „Nie umiesz bić! Pokażę ci jak się to robi!”

Uderzenie otwartą dłonią w twarz było piorunujące! Padłem jak długi na podłogę i ledwo mogłem powstać, a esesmani przestali się mną interesować. Głupio, ale w tym czasie pomyślałem, że ziemniaki na pewno się już spaliły – głód dominował wszędzie! Z tej lekcji „pokory” wyciągnąłem naukę na przyszłe tego rodzaju przypadki. Dowiedziałem się później w obozie, że esesmani dla spotęgowania uderzenia wkładali do rękawiczek metalowe sztabki.

Po kilku miesiącach, już w Gusen II, czułem jak zaczyna się tworzyć od wnętrza jamy ustnej ropień, który następnie uzewnętrznił się na lewej części podbródka w postaci krwawej rany. Walczyłem z tą raną na swój sposób, między innymi zaklejając to miejsce papierem, aby tylko nie dostać się do rewiru, gdyż w tamtym czasie to był wyrok śmierci.

Pierwszy prawdziwie medyczny zabieg tej rany został przeprowadzony dopiero w maju 1945 roku w przychodni lekarskiej zbiorczego obozu dla emigrantów w Norymberdze, do której wraz z innymi Polakami zostaliśmy przewiezieni amerykańskimi samochodami. Rana się zablizniła, ale do dnia dzisiejszego pozostała szrama, jako pamiątka po tamtym zdarzeniu.

Śmierć za przekonania religijne

Na oddziale produkcyjnym w sztoli, w naszej grupie roboczej był dość młody więzień, któremu wiara religijna nie pozwalała mu pracować przy wytwarzaniu narzędzi śmierci. Nad numerem na marynarce miał fioletowy trójkąt wierzchołkiem do dołu, co oznaczało, że był to tzw. *Bibelforscher* (badacz Pisma Świętego), zesłany do obozu za odmowę służenia w wojsku, stąd wnioskuję, że prawdopodobnie był Niemcem.

Jakiś czas udawało mu się nie pracować. W końcu zauważył go nadzorujący esesman. Wezwał go do siebie i zaczął z nim rozmawiać. Pracowałem w pobliżu, o dziwo, ten żołnierz SS tłumaczył więźniowi, że nawet obierając w kuchni kartofle dla pracujących więźniów będzie pośrednio włączony w proces wytwarzania samolotów. Odpowiedział, że tak, ale nie będzie tego widział. I na tym się skończyło. Ten esesman przestał zwracać na niego uwagę i udawał, że go nie widzi.

Po kilku dniach przyszła inna zmiana wartowników. Nowy esesman natychmiast zauważył niepracującego. Rozmawiał z nim krótko, po czym wezwał stojącego na zewnątrz wartownika i rozkazał wyprowadzić więźnia i rozstrzelać. Skazany wyszedł spokojnie, tylko raz się do nas odwrócił na pożegnanie. Huk wystrzałów był dowodem wykonania rozkazu. Do końca zmiany pracowaliśmy w głuchym milczeniu.

Był jednym z wielu, którzy w obozie zginęli za wiarę.

6. Sprawiedliwość w okowach sumienia

W pierwszej połowie 1944 roku (dokładnej daty nie pamiętam), na łydce mojej lewej nogi utworzyła się tak zwana flegmona. Do dnia dzisiejszego mam bliznę po tym schorzeniu. Nie mogłem chodzić i zmuszony byłem zgłosić się na rewir (obozowy szpital). Była to decyzja samobójcza, ale nie miałem innego wyjścia. Miałem do wyboru pozostać na bloku i zginąć jak „muzułman” lub zaryzykować, że będę miał szczęście i na rewirze wyleczę się.

A oto, czym był *Revier* (rewir) – streszczenie z książki J. Osuchowskiego „Gusen – Przedsionek Piekła”:

Rewir

„Rewir miał wśród więźniów ustaloną opinię; mało kto wracał stąd na blok. Aby dostać się na rewir, trzeba było przejść przez czterokrotną selekcję. Pierwszym, który kwalifikował, czy więźnia w ogóle dopuścić przed lekarza, był pisarz blokowy. Od niego przede wszystkim zależało zgłoszenie chorego na sporządzaną każdego wieczora listę. Pisarz mógł odmówić zapisania z takich czy innych względów, czasem bez podania przyczyny. Drugim z kolei był blokowy. Wieczorem, na krótko przed dzwonkiem, dokonywał przeglądu chorych. Kandydatów na rewir na dzień następny wywoływał na środek sali i każdego po kolei wypytywał o rodzaj choroby. Dolegliwości, jego zdaniem błahe, leczył sam kilkoma uderzeniami w twarz, wśród powodzi wyzwisk i ordynarnych, niesmacznych docinków. Więźniom źle notowanym na bloku nie pozwalał zapisywać się, twierdząc, że tylko lenistwo skłania ich do „odpoczynku” na rewirze...”

Kandydaci musieli umyć się, dać się ostrzyć i zgolić wszelkie owłosienie na ciele.

Nazajutrz po wyjściu wszystkich komend do pracy chorych ustawiano osobno, a przeglądu ich dokonywał sam Chmielewsky (kierownik obozu). Przy tej kontroli odpadało znowu wielu, którzy zdaniem jego byli „całkiem zdrowi”. Tych prowadzono natychmiast do pracy – do Kastenhofen (kamieniołom).

Więźniowie zgłaszający się do lekarza byli naprawdę chorzy. Któż dobrowolnie pchałby się w warunki nieodbiegające, a dla niektórych stokroć gorsze od tych, jakie panowały na bloku? Tylko w ostateczności szukano opieki „lekarskiej”. Rewir przerażał wszystkich, a nie pociągał. I tych ludzi wyganiano do pracy, jako symulantów!

Po przeglądzie, chorych odprowadzano na rewir. Wlókł się ten pochód jutrzejszych trupów ulicami obozu, popychany przez przysłanych sanitariuszy, Niemców. Popuchnięte do rozmiarów konewki nogi utrudniały marsz. Wykrzywione bólem twarze, zaciśnięte usta, łzy w oczach i głośne jęki świadczyły o męce, jaką przeżywali ci *morituri*.

Przed rewirem jeszcze jeden przegląd. Na ulicy. Obojętnie czy mróz, czy deszcz, wszyscy rozbierali się do naga. Przeglądu czystości dokonywał sam kapo rewiru...

Przy panującej biegunce, chorobie, która w zastraszający sposób szerzyła się wśród nowych przybyszów, zdarzało się, że chory nie mógł wytrzymać i narobił w spodnie. Nie mając sposobności umyć się przychodził w takim stanie do rewiru. Zach (kapo rewiru), wśród ordynarnych wyzwisk, spluwania na ziemię z udanego obrzydzenia, wydawał rozkaz umycia tych, którzy byli zabrudzeni. Dwóch jego pomocników prowadziło chorych do kąpieli. Jeden wylewał wiadro zimnej wody na chorego, drugi ryżową szczotką na drążku, używaną do zmywania podłogi, szorował całe ciało... Wreszcie jeszcze jedno wiadro wody i chory dygocąc z zimna, słaniając się na nogach, mógł wejść do baraku i tam czekać na lekarza niekiedy dwie godziny...

Pośród chorych znajdowali się ludzie z wysoką gorączką, z okropnymi, ropiejącymi ranami przybierającymi już odcień niebieskawo-zielony. Na napęczniałych, popuchniętych nogach nie mogli ustać, a o siedzeniu nie było mowy...

Pobieżnym przeglądem chorych i określeniem „na oko” cięższych przypadków wymagających leczenia na rewirze rozpoczynał... i kończył lekarz swe urzędowanie. Ludzie, których uznał za zdrowych, po otrzymaniu w najlepszym przypadku aspiryny, musieli wracać do pracy. Czasami lekarz pobieżnie badał kogoś, kto uskarżał się na dolegliwości wewnętrzne. W takich wypadkach ordynował piramidon i pracę na świeżym powietrzu: najlepsze lekarstwo na „wymaginowane bóle”. Dalsze czynności lekarskie zlecał Zachowi, którego darzył dużym zaufaniem.

Bo też Zach doskonale wywiązywał się z nałożonych nań obowiązków. Główną jego zaletą było „admistrowanie” chorymi. Chodziło o to, aby nie zajmowali oni zbyt długo miejsca na rewirze. Sposobów na to miał wiele. Od uśmiercania zwykłym biciem, do zastrzyku benzyny lub wody utlenionej w aortę...

Typowymi przypadkami, które wymagały zabiegu chirurgicznego, były tak zwane „flegmony”, charakterystyczne dla obozów niemieckich. Niedostateczne odżywianie i zupełny brak witamin powodowały nabrzmienia kończyn. Uciśnięcie palcem spuchniętej części ciała pozostawiało dołek, co wskazywało na obecność wody. Lada skaleczenie, a nawet zadrażnienie opuchniętej nogi – co przy chodzeniu w drewnianych chodakach było prawie nieuniknione – powodowało jeszcze większą opuchliznę o ciemnoróżowym zabarwieniu i szklistym połysku. Z rozszerzającej się szybko ranki sączyła się wodnista, żółtawa ciecz. Brak lekarstw i opatrunków uniemożliwiał leczenie, zwłaszcza, że rewir przyjmował dopiero wtedy, gdy rana jużgniła i śmierdziała.

Do tych właśnie ran dobierał się Zach. Cięcia przeprowadzone z pominięciem wszelkich zasad higieny i sterylizacji, tępy, często brudnym, zardzewiałym skalpelem, miały przynieść ulgę cierpieniom, miały uleczyć ranę. Następtwem takich operacji było zakażenie krwi kończące się śmiercią. Bywały jednak, rzadko co prawda, wypadki, iż nawet w ten sposób przeprowadzona operacja dawała dodatnie wyniki. Jeśli pacjent po kilku opatrunkach nie umierał, zawdzięczając to po prostu odporności organizmu, wtedy Zach, sobie przypisując zasługę, opiekował się nim naprawdę...

Jeszcze niebezpieczniejszym od Zacha był... Heinrich Roth (blokowy), sudecki Niemiec...

Specjalną nienawiść żywił Roth do tych, którzy na skutek biegunki zanieczyszczali sienniki. Odgrodził ich część Sali i nazywał ją *bahnhofem*, czyli stacją... przesiedleńczą na tamten świat. Na gołej ziemi, nago, okryci podartymi brudnymi kocami dogorywali tam chorzy w straszliwym zaduchu – wykreśleni już z listy żywych”...

Przeszedłem całą procedurę zakwalifikowania się na rewir z wynikiem „pozytywnym”. Nagi tak jak i inni z numerem wypisanym na piersiach dużymi cyframi zostałem przyjęty do obozowego szpitala.

Wyszedłem z niego żywy i względnie podleczone. A stało to się tak:

Jednym ze sztabowych na rewirze był w tym czasie Polak w średnim wieku (nazwiska nie pamiętam) o dość sympatycznym wyglądzie. Przyjmując mnie zapytał, kim jestem i skąd pochodzę. Powiedziałem, że Polakiem i z Warszawy.

– A z jakiej dzielnicy?

– Z Pragi – odpowiedziałem.

– No to powinienesz znać cukiernię moich Rodziców na ulicy Ząbkowskiej przy Targowej.

– Tak znałem – chodziłem tam po ciastka.

Dalsza rozmowa upewniła go, że rzeczywiście jestem z Pragi. Dzięki temu otrzymałem samodzielne dolne miejsce na pryczy koło piecyka i ubranie. Chorzy na rewirze leżeli nago po dwóch na każdym piętrze pryczy.

Otrzymywałem nieokrojone posiłki. Sztabowy „polecił” mnie więźniowi, który pełnił funkcję lekarza. Ten rzeczywiście zajął się moim schorzeniem.

Boląca noga nie pozwalała mi spać w nocy, ale udawałem, że jestem mocno pogrążony we śnie i nic nie widzę.

Sztabowy nocami siadał przy piecyku w pobliżu mojej pryczy z trzonkiem od kilofa. Widząc jak któryś z chorych, czepiając się prycz, wlecze się do ubikacji – umywalni, podchodził cicho do niego i jednym uderzeniem trzonka w potylicę powalał na podłogę. Następnie „pomocnicy” sztabowego szybko wlekli nieszczęśnika do umywalni. Tam, jeżeli jeszcze dawał oznaki życia, wieszali na kłamece od drzwi, żeby szybciej skonał. Nieżywych układano w kątach umywalni.

Powtarzało się to nieraz kilkanaście razy w ciągu nocy. Tego się nie da wymazać z pamięci!

Na rewirze byłem około tygodnia. Dzięki lekarzowi i warunkom bytu, rana zaczęła się goić i poczyniłem „starania”, abym mógł opuścić to, co nazywało się szpitalem. Z dwójga złego wolałem życie obozowe niż dalszy pobyt wśród chorych – żywych trupów maltretowanych i zabijanych, między innymi i przez sztabowego.

Jest rok 1946. Na terenach rekreacyjnych przy Porcie Praskim (przed wojną tzw. Zakład Higieny) zauważyłem grającego w siatkówkę „sztabowego”. Przyglądałem mu się intensywnie, na krótki czas nasze spojrzenia skrzyżowały się. On grał dalej, a ja stałem w oddali i biłem się z własnym sumieniem.

– Co robić?

– Uratował mnie od śmierci!

– Ale zabił tylu chorych więźniów!

– A może to nie on!?

W końcu postanowiłem jeszcze raz dokładnie mu się przypatrzeć, ale już bez emocji, lecz mecz już się skończył i grający rozeszli się. Przychodziłem tam jeszcze wielokrotnie, ale nie spotkałem go więcej ani tam ani na Pradze.

Często zastanawiałem się jak powinienem postąpić, gdybym się upewnił, że to on. Nurtujące mną sprzeczności nie pozwoliły na wyrobienie własnej decyzji. I tak już pozostało.

Może to i lepiej. Jak bym nie postąpił – w imię sprawiedliwości, czy własnej „wdzięczności” – to sumienie i tak nie dawałoby mi spokoju. Osąd w tej sprawie należy do tych, co będą czytać te wspomnienia.

7. Wszy i pchły

Tak jak na Pawiaku, gdzie główną plagą były pluskwy, tak w Gusen były pchły i wszy. Brak mydła i ciepłej wody. Przepełnione baraki. Bielizna zmieniana co kilka miesięcy. W tych warunkach szczególnie wszy rozmnażały się tak szybko, że nie było możliwości ustrzec się przed nimi. Mieli je wszyscy i zakradały się wszędzie. Zagnieżdżone w szwach bielizny i kocach wylażyły całymi rojami, szczególnie w nocy kęsając śpiących. Od ukąszeń wesz powstawały świerzbiące mikroranki, które pod wpływem drapania i zanieczyszczeń zaczynały ropieć. Na to nakładały się jeszcze koliste plamki od ukąszeń pcheł.

Krwawe plamki ukąszeń miałem na całym ciele. Przeciwno pchłom ciało nacierano na noc jakimś mazidłem możliwym do „zorganizowania”, np. naftą ukradzioną w zakładach Steyera lub Messerschmitta. Pot, brud i nafta tworzyły mieszaninę zapachową, która trochę pomagała w zwalczaniu pcheł.

Wszy były jednak bardziej odporne na te „pachnidła”. Do zwalczania ich, a była to syzyfowa praca, stosowaliśmy dwie metody. Pierwsza to bicie metodą „paznokciową” przed położeniem się na pryczy. Każdego wieczoru zabijałem ich po kilkadziesiąt sztuk. Druga, to metoda „szalikowa”. Z kawałka upranej do czysta tkaniny robiłem coś w rodzaju szalika i zakładałem go na szyję pod koszulę tak, że jeden koniec opadał na plecy, a drugi na piersi. Po kilku godzinach delikatnie zdejmowało się ten szalik, w którym roiło się od wszy, które strzępywało się dyskretnie na ziemię, po czym szalik znów wędrował na szyję. Napisałem „dyskretnie”, gdyż przyłapanie na tej czynności kończyło się w najlepszym wypadku biciem, które nie wszyscy mogli wytrzymać.

Władze obozowe w celu tępienia plagi wszy i pcheł urządzały gazowanie bloków tzw. „Vergasung”. Przeżyłem taki „Vergasung”, który był przeprowadzony 17 stycznia lub 17 lutego 1944 roku (dokładnego miesiąca nie pamiętam). Baraki przeznaczone do gazowania zostały uszczelnione, wewnątrz luźno porozwieszano koce. Na pryczach więźniowie ułożyli swoje ubrania i całkiem nago zostali wcześniej rano wypędzeni na plac apelowy.

Dodam tylko, że ludzie zbijali się w duże grupy tak, że ściśle przylegali do siebie. Najgorzej mieli ci, co stali z brzegu. Stąd była to ciągła przepychanka, bo ci z brzegu chcieli się dostać do środka. Natomiast stojący w środku trzymali się, żeby nie pozwolić się wypchnąć na zewnątrz grupy. Ta kotłowanina trwała przez cały czas, aż do porannego apelu, na którym trzeba było stać nieruchomo w szeregach przez dłuższy czas.

Po apelu pozwolono nam wejść do jednego bloku, który nie był przewidziany do gazowania. To wejście miało dramatyczny przebieg. Wszyscy rzucili się do otwartych drzwi przepychając się wzajemnie i tłocząc. Wielu upadło i zostało stratowanych. W bloku oprócz gołych pryczy były tylko koce, których dla wszystkich nie starczyło. Okropny ścisk, smród i wzajemne wydzieranie koców.

Po południu znów apel. Koców nie pozwolono zabrać. Staliśmy nieruchomo nadzy na mrozie, a umarli leżeli pod blokiem z wypisanymi na piersiach numerami. Widziałem jak słabsi upadali, aby więcej się nie podnieść. Po apelu przy wejściu do bloku ta sama sceneria, co poprzednio, po czym następowało wydawanie obiadu.

Wokół kotłów z jedzeniem panował ścisk i bałagan. Nie pomagały uderzenia pałkami. Był to szturm na kotły w nadziei, że w tym bałaganie uda się jakoś „zorganizować” dodatkową miskę zupy.

Później nastąpiła dezynfekcja przez rozpylanie na wszystkie części ciała smrodliwych substancji. Następnie kąpiel pod natryskami z zimną wodą, która nie zmywała cuchnących

płynów. Dopiero po kąpieli pozwolono wejść do własnego, uprzednio gazowanego bloku i jeżeli to się udało, odszukać własne ubranie. Wyziewy gazu były tak silne, że przyprawiały o zawroty głowy.

Gazowanie na pewien czas dawało efekty, ale nie na długo – znów pojawiały się wszy i pchły z nowo przybyłymi i w niedostatecznie czysto upranej bieliźnie.

Wprowadzone zostały nazwane przez więźniów „lojzkontrolę”. Polegały one na tym, że codziennie przed kolacją dokonywane były przeglądy bielizny, które w praktyce ograniczały się do przeszukiwania koszul. Przed podejściem do kontroli, długo oglądaliśmy każdy kawałek koszuli, a mimo tego kontrolujący znajdował u niektórych wszy. Więźniów, u których znaleziono wszy, bito lub odbierano im za karę chleb, a czasami jedno i drugie w zależności od tego kto kontrolował. Aby uniknąć tych szykan uciekano się do najrozmaitszych wybiegów. Na przykład jedni drugim pożyczali czystsze koszule, które przeszły już przez kontrolę. Powstał nawet proceder pożyczania koszul za porcję chleba lub dodatków do niego, jakimi były plasterki wędliny lub porcja margaryny. Zawszeni chętnie płacili ten haracz, byle tylko uniknąć szykan i bicia.

Wszy i pchły prześladowały wszystkich, aż do końca pobytu w obozie.

8. Prominenci

W administracji obozu zatrudnieni byli więźniowie, którzy stanowili swoistą elitę. Nazywano ich prominentami. Należeli do nich blokowi, kapowie, sztabowi, pisarze, pracownicy kuchni dla więźniów i esesmanów oraz inni, piastujący co ważniejsze stanowiska w obozie lub w koszarach esesmańskich. Przeważnie byli to Niemcy, z innych narodowości – Polacy i Hiszpanie. Aby utrzymać się na tych funkcjach nie cofali się przed żadną podłością i wysługiwaniem się esesmanom. Jednak nie wszyscy byli tacy. Kroniki obozowe wymieniają wielu prominentów, którzy wykorzystywali swoje możliwości i przywileje pomagając i ratując życie innych więźniów.

Prominenci wyróżniali się wyglądem zewnętrznym. Ich pasiaki były czyste i dobrze skrojone. Sylwetka i twarz mówiły o dobrym odżywianiu. Mieli swoich osobistych „szwungów”, którzy przyrządzali im specjalne posiłki, dbali o odzież i pomieszczenie. Czasami „szwung” bardziej zamożnego „pana” miał swoich pomocników.

W czasie, kiedy dostałem się do Gusen, zauważyłem, że „szwungami” byli przeważnie chłopcy o dość przyjemnym i eleganckim wyglądzie. Później okazało się, że ci chłopcy świadczyli usługi seksualne swoim panom. Ulegali pod wpływem strachu, gróźb i szykan lub też pociągały ich obietnice lepszego traktowania i odżywiania. Nazywano ich „piplami” (od *Piepel*), lub „senioritami”.

W celu zapobieżenia szerzącemu się coraz bardziej homoseksualizmowi, tuż przy drutach okalających obóz, w końcu 1942 roku został wybudowany domek o wyglądzie willi weekendowej z przeznaczeniem na dom publiczny zwany „puffem”.

9. Kochana Mamo! Jestem zdrów...

Dzięki mojej Rodzinie przetrwała do dziś część mojej korespondencji obozowej obejmującej czas od grudnia 1943 do czerwca 1944 roku.

Do Gusen dostałem się 8 listopada 1943 roku. Po odbyciu kwarantanny, wysłana została z urzędu na adres Matki „Postkarta” z datą stempla pocztowego 20.12.1943, w której znajdowało się pouczenie o korespondencji i przesyłaniu paczek.

Pierwszy zachowany mój list do Matki jest ze stycznia 1944 roku:

„Kochana Mamo, jestem zdrow i spodziewam się od Was tego samego. Dziękuję Wam za list, paczkę, papierosy i tytoń i proszę o dalsze. Kochana Mamo, z bielizny oraz rzeczy nic nie potrzebuję, pieniądze potrzebowałbym. Jeszcze raz dziękuję za paczkę i pozdrawiam Cię, Twój syn Stasiek.”

Dalsze zachowane listy mają podobną treść. Gdyby było inaczej, Rodzina nie otrzymałaby listu, a mnie wymierzono by regulaminową karę 25 batów i zabroniono wysyłania listów przez kilka miesięcy. Ludzie po drugiej stronie obozowych murów, nie mogli się dowiedzieć, co się tutaj dzieje.

Napisanie listu to była cała subiekcja. Najpierw na skrawku papieru pisało się list po polsku. Później należało znaleźć kogoś, kto napisałby go po niemiecku na specjalnym druku wydawanym tylko jeden raz w miesiącu.

Polscy pisarze wiedzieli, co ma być w liście i pisali po swojemu tak, aby list dotarł do adresata, to jest do osób oczekujących na wiadomość od tego, który jest w obozie i jeszcze żyje.

Listy podlegały wielokrotnej kontroli i cenzurze. Mimo tego udawało się przemycić ważne informacje. Na przykład: w cytowanym liście napisałem, że dziękuję za list, paczkę, papierosy i tytoń i proszę o dalsze. Prawda była taka, że żadnego listu i paczki nie otrzymałem. Dziękowałem za papierosy i tytoń, gdyż chciałem, żeby mi je przysłali, bo była to obozowa waluta.

W liście z marca 1944 roku napisałem: „Jest mi przykro, że Stefan nie żyje”. Była to wiadomość o tym, że dowiedziałem się, że zginął w obozie – był na innym bloku. Byliśmy razem aresztowani, razem siedzieliśmy na Pawiaku i razem wywieziono nas do Oświęcimia a potem do Gusen. Myśleliśmy o wolności, stało się jednak inaczej.

Otrzymałem listy i paczki od nieznanymi mi i mojej rodzinie osób. Po powrocie do kraju udałem się pod adres podany w liście, ale nie odnalazłem ich. Pod wskazanymi adresami nikt ich nie znał. Osoby te jednak znały moją Rodzinę, gdyż wysłany do nich list trafił do mojej Matki. Pisząc te słowa, polecam ich Bożej Opatrzności, gdyż tylko w ten sposób mogę im podziękować.

Nie zachowałem żadnego otrzymanego listu – zgodnie z poleceniem władz obozowych, listy po przeczytaniu, za wyjątkiem ostatniego, musiały być niszczone.

10. Paczki

Na przełomie lat 1943 i 1944 władze niemieckie zezwoliły na przysyłanie paczek żywnościowych do obozu. Dla więźniów już przebywających w obozie był to moment zwrotny, pomagający się utrzymać przy życiu. Dla mnie natomiast był to wsparcie w okresie głodu.

Od sierpnia 1944 roku, z chwilą wybuchu powstania w Warszawie paczki i listy nie docierały już do obozu.

Każda przysłana paczka była oficjalnie okradana przez esesmanów w momencie jej wydawania więźniowi. A odbywało się to tak: po kolacji na bloku wywieszano kartki z nazwiskami (tylko w jednym tym przypadku posługiwano się nazwiskiem więźnia a nie jego numerem). Szczęśliwiec biegł do „Schreibsstuby”, gdzie wydawano paczki. Po wywołaniu stawało się przed stołem, na którym leżała uprzednio już otwarta paczka. Dyżurny esesman wysypywał jej zawartość na stół i zabierał, co najmniej połowę, a nieraz i całość takich artykułów jak masło, wędliny, pieczony drób, czekolada itp. Z tak okrojonej paczki należało dać jeszcze haracz blokowemu, a jeżeli pisarzem był Niemiec to jeszcze i jemu. Mimo to zawsze więźniowi coś zostawało dla siebie, a czasami i innych – byli tacy, co nie przejadali swych paczek.

Paczki zwiększyły ilość jedzenia w obozie. Stąd łatwiej było o dodatkową miskę zupy, a to czasami decydowało o przeżyciu. Funkcyjni obozowi mniej kradli racji żywnościowych przeznaczonych dla więźniów. Wytworzyła się nawet grupa „paczkowych arystokratów”. Bardzo ożywiła się obozowa giełda. Można było na niej kupić w ramach wymiany lub za obozową walutę czyli papierosy, miskę zupy, kromkę chleba, papierosy, skarpetki, skórzane buty, swetry, rękawiczki, wieczne pióra, zegarki i różne drobiazgi wytwarzane przez więźniów.

Moje paczki nie były „wystawne”. Żywność porcjowałem i sukcesywnie zjadałem, jako dodatki do obozowego pożywienia. Nie paliłem papierosów i to było dla mnie zbawienne. Przesyłane mi papierosy i tytoń zamieniłem na skórzane buty, skarpetki, sweter, ciepłą bieliznę i mydło.

Niestety ten paczkowy okres trwał u mnie tylko około pół roku, do chwili przeniesienia do Gusen II. Później nastął czas obozowego głodu i gdyby nie wcześniejsze „dożywianie” nie wiem, czy bym przetrzymał, a właściwie to dożył do dnia wolności.

Do dziś zachowały się dowody nadania przez moją Rodzinę 14 paczek żywnościowych o łącznej wadze brutto 94,8 kg. Pierwszy dowód z dnia 10.01.1944 roku, a ostatni jest datowany stemplem z dnia 31.05.1944 roku. Oprócz tego otrzymałem od innych osób jeszcze kilka paczek. Chociaż większa część zawartości była urzędowo kradziona, to reszta stanowiła bardzo znaczące wzmocnienie dla mojego wygłodzonego ciała.

11. Dno piekła

Jerzy Osuchowski w książce „Gusen – Przedśionek Piekła” tak opisał obóz Gusen II.

Robo

„Gusen II

Dla rozrastającego się przemysłu zbrojeniowego obóz w Gusen okazał się za mały. Budowa olbrzymich hal ciągnących się kilometrami we wnętrzu dużej góry w St. Georgen, a przeznaczonych na pomieszczenia fabryki samolotów, wymagała tysięcy robotników. Robotników sprowadzano ze wszystkich części Europy. Na ulokowanie ich nie wystarczały dotychczasowe pomieszczenia. Wykończono więc w szybkim tempie niemal przylegające do Gusen przestronne baraki, pierwotnie przeznaczone na centralne magazyny odzieżowe dla esesmanów. W ten sposób na początku maja 1944 roku stworzono nowy obóz – Gusen II. Znaleźli się w nim wyłącznie ci, którzy pracowali przy budowie tuneli, a potem przy produkcji samolotów w St. Georgen. Do pracy przewożono ich koleją, ściśniętych jak śledzie w beczce, w otwartych wagonach węglowych.

Jeśli Gusen I było przedśionkiem piekła, to Gusen II stanowiło samo jego dno.

Złożył się na to przede wszystkim dobór personelu administracji wewnętrznej, którą pozostawiono w rękach niemieckich więźniów. Na blokowych, pisarzy i kapów przydzielono tu największych bandytów z Gusen I.

Do tego dna piekła dostałem się w sierpniu 1944 roku i zostałem przydzielony do komanda *Bergkristall* – przypominam, że był to kryptonim fabryki kadłubów i płatów do pierwszych na świecie odrzutowych samolotów myśliwskich Messerschmitt Me-262.

Produkcja tych zespołów trwała aż do 2 maja 1945 roku tj. do czasu opuszczenia obozu przez dowództwo żołnierzy SS. Straż nad obozem przejęła policja austriacka złożona ze starszych mężczyzn (*Volkssturmsoldaten, Hilfstruppen der Wierne Feuerschutzpolizei*).

W fabryce pracowano na dwie zmiany po 12 godzin. Jeżeli doliczyć do tego obowiązkowe czynności obozowe oraz czas na dojazdy i przyjazdy, to na odpoczynek i sen nie zostawało zbyt wiele czasu.

Te dojazdy i przyjazdy wyglądały następująco: bez względu na pogodę przewożono nas koleją, ściśniętych do granic możliwości w otwartych wagonach zwanych węglarkami. Ten celowy ścisk to zabezpieczenie przed ewentualnym wydostaniem się z wagonu. Pociąg jechał bardzo wolno. Po obu stronach toru w odległości kilkudziesięciu metrów, na całej długości pociągu, szli w szeregu uzbrojeni esesmani z groźnymi wilczurami. Przejazd około 5 kilometrów trwał ponad godzinę.

Niewyspani, wygłodzeni i wymęczeni ludzie padali przy pracy i umierali w obozie, w czym skwapliwie pomagali im kapowie i blokowi. Umierali nawet w czasie snu. Sam mogłem się o tym przekonać. Na pryczy spało się po dwóch. Zdarzyło się, że mój „współlokator” nie wstał rano na zbiórkę do pracy. Nawet nie wiedziałem, kiedy umarł, a przecież leżałem obok niego. Była to cicha i spokojna śmierć. Na apelu musieli być wszyscy. Ja żywy w szeregu, a on już bez ubrania, leżał wśród martwych pod barakiem z numerem wypisanym na piersiach.

Kiedyś byłem tak zmęczony, że nie mogłem się w porę obudzić i spóźniłem się na apel, nie pojechałem do pracy. W tym czasie za takie przewinienie karano śmiercią, którą wymierzali kapowie i blokowi. Ale za bochenek chleba lub paczkę papierosów można było się wykupić – tyle kosztowało ludzkie życie. Mnie uratował Polak, pisarz obozowy (nazwiska nie pamiętam), który sam wymierzył mi karę 15 kijów (norma była 25). Tym sposobem uniknąłem kary z rąk kapa, która zazwyczaj kończyła się w krematorium. Był to znany Polak, który bardzo wielu uratował, a właściwie wykupił od śmierci.

Częste wypadki samobójstw świadczyły o warunkach panujących w obozie. Widziałem jak jeden z więźniów pracujących przy torze kolejowym, położył głowę na szynę w momencie ruszania pociągu. Po przejechaniu pociągu, na torach leżały oddzielnie głowa i tułów – „samo zgilotynowanie”.

Więźniowie będący w silnej depresji lub ci, których zmusili do tego kapowie rzucali się na druty kolczaste ogrodzenia obozu, będące pod wysokim napięciem. Prawie każdego dnia było widać zwisające na drutach zwłoki tych, którzy już dłużej nie wytrzymali obozowej gehenny. Ginęli porażeni prądem elektrycznym lub zastrzeleni przez wartowników podczas „ucieczki”.

W części muzealnej obozu Mauthausen znajduje się między innymi gablota z fotografiami ginących na drutach i informacja, że ponad 2500 więźniów zostało zastrzelonych podczas „ucieczki”, a ponad 1500 więźniów wybrało śmierć samobójczą lub zostało do niej zmuszonych.

12. Kryształowa Góra – *Bergkristall*.

Dla nas, ówczesnych więźniów to *Kommando Bergkristall*, które pochłonęło pośrednio lub bezpośrednio życie tysięcy ludzi. Gdyby usypać w jedno miejsce pochodzące od nich kryształki łez, potu i krwi, powstałaby też kryształowa góra, z której dochodziłyby płacz, jęki i ... skargi do Boga.

Zgodnie z moją *Häftling Personal Karte* zostałem przydzielony do tego komando 19 sierpnia 1944 roku z jednoczesnym przeniesieniem mnie do obozu Gusen II.

Ta „Kryształowa Góra” to kryptonim fabryki odrzutowych samolotów Messerschmitt, zlokalizowanej w podziemnych sztolniach wyrąbanych dzięki niewolniczej pracy więźniów, w górze z piaskowca w okolicy miasta St. Georgen.

Cała fabryka usytuowana na głębokości kilkudziesięciu metrów to kratownica głównych sztolni, hal produkcyjnych i korytarzy pomocniczych liczących około 15 kilometrów długości (dane zaczerpnięte ze wspomnień więźnia pracującego przy budowie). Na ówczesne czasy fabryka była znaczącym osiągnięciem techniki: własne agregaty prądotwórcze, oświetlenie typu jarzeniowego, napięcie instalacji elektrycznej 24 Volt, pneumatyczne narzędzia, takie jak wiertarki i młotki do nitowania.

Równoległe z produkcją trwała budowa dalszych tuneli. W przodku kombajn ze specjalnymi piłami wycinał zarys tunelu. Następnie cofał się i więźniowie za pomocą młotów pneumatycznych wyrąbywali piaskowiec, który taśmociągami był wynoszony na zewnątrz, a dalej kolejką na usypisko. W pewnej odległości od przodka pracowały grupy, które obmurowywały kamieniami ściany i stropy sztolni. W pewnych odstępach, w obmurówce wstawiano zbrojenia ze stalowych kształtowników.

Szacuje się, że w fabryce pracowało w dwunastogodzinnym systemie zmianowym około 11 000 więźniów.

Pobyt w Gusen II, a szczególnie praca w podziemnej fabryce są dla mnie „białą plamą”. Pamiętam tylko niektóre wydarzenia. Aby powstał w miarę prawdziwy obraz tamtych dni, muszę wspomagać swoją pamięć literaturą o tematyce związanej z obozem i zakładami Messerschmitt.

Początkowo przydzielono mnie do różnych robót pomocniczych przy trwającej cały czas rozbudowie fabryki. Później zostałem dołączony do zespołu wykonującego płyty nośne – skrzydła – do samolotów myśliwskich albo raket V2. Zostałem wyznaczony na pracownika porządkowego. Ale ponieważ zawsze było coś nie tak, często obrywałem lanie od nadzorującego naszą grupę esesmana. Niemcy do maksimum wykorzystywali więźniów przy produkcji. Zatrudniali ich nawet w kontroli technicznej. Każdą grupę roboczą (kilkadziesiąt ludzi) nadzorował jeden pracownik cywilny, a kilka grup roboczych jeden wojskowy SS. Karano surowo za każdą usterkę lub niewłaściwe tempo pracy. Każda zmiana przywoziła do obozu wielu zmarłych.

I tak to trwało aż do 2 maja 1945 roku, kiedy po raz ostatni pracowaliśmy w fabryce (2 maja 1945 – upadek Berlina). W tym dniu oddziały SS opuściły obóz i fabrykę, która pozostała nienaruszona do czasu wyzwolenia Gusen przez wojska amerykańskie.

13. Wolność mogła przyjść za późno

Pomimo głodu, wyniszczającej pracy i ciągłego widma śmierci więźniowie dla podtrzymania ducha zbierali i przekazywali sobie wiadomości i „parole” (tendencyjnie optymistyczne wiadomości) o tym, co dzieje się na świecie, w tym szczególnie na frontach walki w Europie.

Więźniowie nie mieli dostępu do niemieckich gazet – docierały one do Niemców. Stąd w wysyłanych listach proszono Rodziny, aby artykuły żywnościowe były pakowane w gazety, gdyż lepiej się przetrzymują. Wiadomości były przekazywane przez więźniów różnych narodowości z nowo przybyłych transportów.

Osobiście usilnie wypytywałem zesłanych do Gusen warszawiaków o przebieg walk w czasie Powstania Warszawskiego. Smutne, ale niewielu z nich dożyło dnia wyzwolenia obozu.

Długo po tym rozważałem, jaki byłby mój los, gdybym wziął udział w powstaniu.

Tragiczny los był udziałem Włochów – wyszydzani i poniewierani za „zdradę” przez esesmanów i ich popleczników masowo ginęli.

Wielką sensacją był zamach na Hitlera w lipcu 1944 roku, kilka dni nie chodziliśmy do pracy, a obóz przypominał wojenną twierdzę.

Od połowy 1944 roku nasiliły się alianckie naloty na zakłady przemysłu zbrojeniowego zlokalizowane niezbyt odległe od obozu. Odgłosy wybuchów bomb słychać było w obozie, co wywoływało radość wśród więźniów.

Pamiętam szczególnie jeden taki nalot w lipcu 1944 roku, czyli w czasie, kiedy byłem jeszcze w Gusen: po ogłoszeniu alarmu, przebywających w obozie więźniów – pracowników zakładów Steyera i Messerschmitta, zapędzono do wykopanych rowów przeciwlotniczych tuż przy drutach kolczastych ogrodzenia. Pozostali musieli zostać w barakach, gdyż rowy

wszystkich nie mieściły. W tym dniu eskadry samolotów nisko przelatywały nad obozem, było ich tak dużo, że przesłaniały całe niebo. Obrona przeciwlotnicza na naszych oczach zestrzeliła kilka maszyn (mówili, że aż siedem). Esesmani zastrzelili wszystkich lotników ratujących się na spadochronach – jeszcze w powietrzu lub tuż po wylądowaniu. Następne eskadry leciały już wyżej i były nieosiągalne dla artylerii. Szczątki strąconych samolotów zostały zgromadzone w obozie i ułożone obok głównej bramy. Z lecących samolotów spadał deszcz cieniutkich paseczków metalowej folii – fachowcy orzekli, że to w celu zakłócenia pracy radarów i optycznych przyrządów namiarowych obrony przeciwlotniczej.

Jerzy Osuchowski w książce „Gusen – Przedsiónek Piekła” tak skomentował to wydarzenie:

„Potworna zbrodnia strzelania do bezbronnych lotników wzbudziła oburzenie więźniów, ale równocześnie uprzytomniła im, że Niemcy, którzy pogwałcili wszystkie prawa ludzkie i międzynarodowe, nie cofną się w przededniu klęski przed wymordowaniem całego obozu, co zresztą obiecywali na każdym kroku.”

I dalej:

„W pierwszych dniach kwietnia (1945 r.), z soboty na niedzielę, Zierys i Seidler (komendant Mauthausen i Gusen) i dwóch naczelników dyrektorów firmy DEST (*Deutsche Erd- und Steinwerke*) Walter i Wolfram własnoręcznie wyladowali z wagonów jakieś skrzynie i beczki. Był to, jak się później okazało, dynamit i gaz trujący przeznaczony do zlikwidowania całego obozu.

W niedzielę w południe pod pozorem fałszywego alarmu wszystkich więźniów z Gusen I i II, z wyjątkiem chorych znajdujących się na rewirze, wpędzono do tunelu. Esesmanom widocznie bardzo się spieszyło i intensywniej niż zwykle szczuli psami, bili i popychali więźniów. Podejrzanie wyglądało również, że tego dnia do schronu nie schodziła ani ludność cywilna ani personel obozowy. Nieświadomi niczego więźniowie nie okazywali strachu, przeciwnie cieszyli się z nowego nalotu. Nie przeczuwali, że stoją u progu straszliwych nieludzkich mąk i śmierci. Co wpłynęło na to, że owego dnia nie wykonano tego potwornego planu pozostało tajemnicą.

Schwytany komendant Mauthausen Zierys tak zeznawał w tej sprawie: „Zgodnie z rozkazem ministra Rzeszy Himmlera, na polecenie *Obergruppenführer'a* dr Kaltenbrunnera, miałem zgładzić wszystkich więźniów. Mieli oni być zaprowadzeni do tuneli, do których wejścia miały być uprzednio zamurowane, z pozostawieniem tylko jednego wejścia. Następnie tunele miały być wysadzone w powietrze razem z wpędzonymi tam więźniami. Odmówiłem wykonania tego rozkazu. Chodziło tutaj o więźniów z Gusen I i II”. Gdyby ten piekielny plan został zrealizowany, nie pisałbym teraz wspomnień.

Wolność

1. Pierwszy dzień wolności

Esesmani opuścili Gusen 2 maja 1945 roku. To odejście, a raczej ucieczka była dowodem, że dzień wolności jest już blisko. Przerwano pracę, ustało bicie. W obozie zapanował pozorny spokój, jak cisza przed burzą. Wszyscy czekali na wyteśknioną i upragnioną chwilę wolności.

Widmo głodu zawisło nad obozem. Uciekający esesmani pozostawili po sobie puste magazyny żywności. Chleba brakowało już od kilku dni. Nowe władze obozowe nie mogły sobie poradzić z tym problemem.

W kopcach pozostały tylko nadpsute ziemniaki, więźniowie zabierali je i przyrządzali z nich jedzenie.

Po trzech dniach wyczekiwania nareszcie przyszła wolność! Amerykanie weszli do Gusen II 5 maja 1945 roku około godziny 17.00. A właściwie to wbiegło na teren obozu kilku amerykańskich żołnierzy, z których jeden krzyknął po polsku: „Jesteś wolni!” Co się po tym działo nie sposób opisać. Płacz, łzy, wzajemne ściskanie i „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Swoje hymny narodowe zaczęli śpiewać też więźniowie innych narodowości.

Amerykanie rozbroili wartowników – „dziadków” z *Volkssturmu* i Pomocniczych Oddziałów Policji Austriackiej i ustawili ich pomiędzy dwoma wozami bojowymi. Tak sformowana kolumna „triumfalnie” podążyła w kierunku Gusen I. Przed wyruszeniem, odebraną wartownikom broń Amerykanie zrzucili na stos, wyleli na nią kanister benzyny, podpalili i ... odeszli. Ten widok był hasłem do „sądnego dnia”. Znikła radość i łzy, które przemieniły się w gniew i chęć od dawna skrywanej zemsty na esesmanach i funkcyjnych zwyrodnialcach. Nim Amerykanie doszli do swoich pojazdów ugaszono ogień i wartownicza broń znalazła się w rękach więźniów.

Pisząc te wspomnienia jestem pewien, że Amerykanie celowo zastosowali „westernowskie” prawo i dali nam szansę odwetu.

Zemsta więźniów nie dosięgła głównych winowajców – esesmanów – zdążyli opuścić obóz 2 maja 1945 roku. Jednak ich pomocnicy srogo zapłacili za swoje czyny.

Zaczął się polowanie na blokowych, sztabowych, kapów, szpicli i innych funkcyjnych, którzy wymyślnymi i sadystycznymi metodami uśmiercili lub przyczynili się do śmierci wielu takich samych jak i oni więźniów. Wprawdzie ci obozowi funkcyjni uśmiercali z poduszczenia niemieckich władz, ale czy musieli starać się dorównać im w ludobójstwie?

Nie było litości. Ginęli tak jak sami zabijali innych. Ich zmasakrowane ciała leżały na placu tam, gdzie dosięgła ich zemsta. Niektórym udało się uciec z obozu. Tych poszukiwały specjalne uzbrojone patrole – złożone przeważnie z Polaków. Nie wiem ilu zostało zgładzonych – szacuje się, że samosądy dosięgły w Gusen II około trzydziestu oprawców.

Obóz pogrążył się w chaosie – jedni szukali zemsty, inni – żywności i odzieży w magazynach.

Byłem w magazynie żywności – pustki, nic do jedzenia, w ostatnich miesiącach otrzymywaliśmy tylko miskę zupy i co kilka dni kawałek chleba. W magazynie odzieżowym „zorganizowałem” jakieś cywilne ubranie (któregoś z więźniów, który już prawdopodobnie nie żył).

Niemcy prowadzili w obozie hodowlę królików angorskich – wszystkie zostały wyłapane i zjedzone. Było to jednak zbyt mało, dla wszystkich nie starczyło. W całym obozie Gusen w dniu wyzwolenia było około 20000 więźniów. Zaczęły tworzyć się grupy. Zdrowsi i silniejsi wyszli z obozu. Zaczęli sprowadzać krowy, świnie, kozy, wszelkiego rodzaju drób. Przynoszono ziemniaki, warzywa, owoce. Niektórym udało się „zorganizować” nawet chleb.

Okoliczna ludność na pewno długo pamiętała dzień wyzwolenia obozu!

2. Krajobraz po dniu wolności

Zagubiłem się w tej nowej sytuacji. Byłem jakoś dziwnie bezradny i tak się ułożyło, że nic nie mogłem zdobyć do jedzenia. Ale zostałem życzliwie przyjęty do jednej z grup, byłem w niej kimś w rodzaju kucharza.

Zapadł zmrok. Obóz wyglądał jak obozowisko dawnego wojska. Nikt zdrowy nie spał. Wszędzie ogniska, przy których siedzieli dawni więźniowie i gotowali to, co udało im się

zdobyć. Blask płomieni rzucał refleksy na wychudłe twarze i odruchowo wyciągnięte do jedzenia ręce, które podobne były do kości obciążniętych skórą. Tylko oczy świeciły nowym blaskiem. Była to pierwsza noc wolności i byliśmy bardzo szczęśliwi, cieszyła nas nadzieja, że nareszcie najemy się do syta i to tego, o czym się marzyło od dawna. Pełne zrealizowanie marzenia okazało się dla niektórych zgubne. Wycieńczone prawdziwym głodem organizmy nie mogły poddać takiej nagłej zmianie. W mojej grupie panował reżim. Nie wolno było dużo jeść. Tylko małe porcje i to w dużych odstępach czasu. Tych, którzy nie mogli się wstrzymać, bito kijem po rękach.

Rano po wschodzie słońca, tam gdzie paliły się w nocy ogniska leżeli liczni umarli. Byli to ci słabsi psychicznie i fizycznie, którzy nie wytrzymali gwałtownej zmiany: katorgi na wolność, głodu na obfitość jedzenia.

Obóz wyglądał jak pobojuwisko. Życie jakby zamarło i nic się nie działo. Amerykanie na razie nie interesowali się obozem. Nie było prądu i wody. Ci, co mogli chodzić opuścili obóz. Pozostały puste baraki pełne bałaganu oraz trupy pod krematorium, których nie zdążono spalić. Na placu apelowym i drogach leżeli pozabijani funkcyjni i ci, co umarli po wyzwoleniu.

3. Pierwsze przemyślenia

Euforia zaczynała opadać – wypaliła się częściowo przy ogniskach, a znikła nazajutrz rano, gdy ujrzeliśmy to nasze obozowe pobojuwisko.

Decyzja zapadła szybko – jutro opuszczamy obóz i ruszamy do Linzu oddalonego od Gusen o około 18 kilometrów.

Wczesnie rano, przekraczając bramę obozu, powtarzałem w myślach marsz guzenowców:

„Już przebrzmiał dzwon i świat swą zmienia twarz
Ojcowski dom na powrót czeka nasz
Pójdziemy w jasny dzień z zasobem nowych sił
Więc żegnaj nam świecie kamiennych brył”

Historia tego marszu to pokłosie biernej walki więźniów w obronie życia i ludzkiej godności. Tekst i muzykę napisali dwaj więźniowie – Konstanty Ćwierk i Ludomir Szopiński. Marsz podobał się Niemcom, ale sens jego słów rozumieli tylko Polacy.

Z obozu wychodziliśmy w pośpiechu, podświadomie dopingowani okropnościami przeżyć, których doznaliśmy w tym miejscu. Inni robili to samo. Śpiewu nie było. Już wtedy pojawiły się pierwsze przemyślenia: jesteśmy wolni, ale trzeba czasu, aby dojść do siebie psychicznie i fizycznie.

Jak to zrobić? Wracać do kraju, do swoich, czy na razie pozostać, ale gdzie? Kto nam w tym wszystkim dopomoże?

Te 18 kilometrów to cały długi dzień wędrówki do Linzu. Po drodze mijały nas amerykańskie samochody wojskowe z żołnierzami. Wyciągaliśmy do nich ręce w gestach pozdrowienia i podziękowania za wyzwolenie. Oni rzucali nam kartony ze swoimi racjami żywnościowymi. Było to dla nas zbawienne, gdyż po drodze nic nie można było zorganizować do jedzenia. To, co było możliwe, wzięli nasi obozowi koledzy, którzy wyruszyli wcześniej.

W kartonach rzucanych przez Amerykanów były między innymi konserwy mięsne z nożykiem do otwierania puszek, suchary chlebowe, czekolada, papierosy z zapałkami oraz papier toaletowy. To było dla nas prawdziwe kuriozum, a jednocześnie rarytas – artykuł

niewidziany od lat, a tu bardzo przydatny do wielu celów. Mnie posłużył do opatrywania ropiejącego wrzodu na podbródku, który miałem od czasu uderzenia przez esesmana. Inni zawijali w papier zapasy żywności, które chowali na później.

Zatrzymaliśmy się u bogatego gospodarza na przedmieściu miasta. Ten gospodarz był nader uczynny (chyba ze strachu), i pozwolił nam brać wino (było bardzo „cienkie”), prosto z kadzi znajdującej się w piwnicy pod domem. Była to prawdziwa winiarnia – pierwszy raz w życiu zobaczyłem tam wysokie dębowe kufy i drewniane ogromne prasy do wyciskania soku z owoców.

Nazajutrz poszliśmy do miasta. Na ulicach niepodzielnie „rządzili” więźniowie różnych narodowości, najaktywniejsi byli chyba Polacy. Grupy więźniów plądrowały sklepy i magazyny, wszędzie były powybijane szyby, panował ogólny bałagan. Przejeżdżały wojskowe patrole amerykańskie, ale na razie nie interweniowały. Wszystko zostało rozkradzione, przede wszystkim artykuły żywnościowe. Mieszkańcy Linzu z pewnością na długo zapamiętali te dni.

Wróciliśmy z powrotem trochę lepiej przyodziani, ale bez prowiantu. Musiały nam wystarczyć resztki z paczek żywnościowych amerykańskich żołnierzy i wino gospodarza. Od czego polska zaradność. „Przybłąkał” się jakiś obcy niezbyt stary koń, który po kilku mozolnych godzinach był poćwiartowany i już się gotował. Nawet dobrze smakował. Znow byliśmy syści i wypoczywaliśmy, jedząc mięso i popijając wino.

Sielanka trwała krótko. Amerykanie zaprowadzali w mieście porządek. Byłych więźniów ponownie, zabierano do obozu, aby tam ich zakwaterować do czasu repatriacji.

Uniknęliśmy tego, udało się nam „załapać” na transport do obozu zbiorczego dla uchodźców w Norymberdze. Obóz zorganizowano w byłych koszarach doborowej niemieckiej jednostki SS.

W Norymberdze zakończył się kolejny rozdział mojego życia.

78 dni wędrówki do Polski

Moja droga do Polski trwała od 6 maja 1945 do 22 lipca 1945 roku. Wiodła do Linzu w Austrii, a następnie do Norymbergi w Niemczech. Tam dostałem się do armii amerykańskiej z przydziałem do oddziału technicznej obsługi samochodów.

Na radiowe apele z kraju, wzywające Polaków do Ojczyzny, porzuciłem armię i gnany tęsknotą puściłem się w podróż do Polski, do Rodziny.

Jak i czym podróżowałem, co przeżyłem i co widziałem od chwili opuszczenia obozu w Gusen do dnia przybycia do Warszawy – to materiał na oddzielną obszerną opowieść!

W Warszawie znalazłem się 22 lipca 1945 roku.

Na Dworzec Główny przyjechałem pociągiem, na dachu wagonu (tylko tam było wolne miejsce). Z tej wysokości, dla mnie pamiętającego Warszawę z 1943 roku, widok był niesamowity. Jak okiem sięgnąć wszędzie ruiny i zgliszcza domów, zasypane gruzem ulice.

- Ale Warszawa żyła!

Przekonałem się o tym idąc pieszo z dworca aż na Pragę. Wśród gruzów i ruin widać było ruch i życie. Unoszące się do góry smugi dymów mówiły – tam są ludzie.

Czuło się jeszcze wtedy atmosferę wolności i wzajemnej życzliwości.

Na dworcu, od Pań z Czerwonego Krzyża otrzymałem posiłek, bardzo pożądany, gdyż od kilku dni niewiele jadłem. Później życzliwie informowano mnie, którymi ulicami będę mógł dojść do mostu pontonowego na Wiśle, aby dostać się na Pragę – innego mostu dostępnego dla pieszych nie było.

Po przejściu mostu znalazłem się na ulicy Olszowej. Do miejsca, gdzie był mój dom było zaledwie kilkaset metrów, ale nogi ugięły się pode mną i odmówiły posłuszeństwa, nie mogłem dalej iść – musiałem usiąść na ziemi, a właściwie to uklęknąć.

Tak bardzo pragnąłem podejść do Matki! Przytulić się i powiedzieć: Mamo! Wróciłem! Wojna się skończyła!

Ale to, co chciałem zrobić i powiedzieć – pozostało tylko pragnieniem.

Nie było już domu, a w nim Matki. Zmarła 21 listopada 1944 roku, mając 52 lata, ranna odłamkami niemieckiego pocisku artyleryjskiego, który upadł i eksplodował na podwórzu domu przy ulicy Panieńskiej 3 w momencie, kiedy Matka szła schodami do piwnicy i znalazła się przy drzwiach wychodzących na podwórko.

Wielokrotnie przychodziłem na miejsce naszej ostatniej rozmowy 12 września 1943 roku, kiedy niefrasobliwie powiedziałem: „Do widzenia Mamo! Nie wrócę aż za dwa lata! Aż się wojna skończy!”

Wróciłem 22 lipca 1945 roku po 678 dniach nieobecności. Do pełnych dwóch lat brakowało dokładnie 52 dni. Tyle dni ile lat miała Matka, kiedy umarła!

Czyżby to miało być „życie za życie”?

W podobnie tragiczny sposób zginął brat Janek. Kapral Wojska Polskiego. Wcielony do wojska na mocy nakazu mobilizacyjnego, brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Po rozbiciu jego oddziału przez wojska niemieckie przedostał się do oblężonej Warszawy. Po kilku dniach spędzonych z żoną i synkiem, mimo ich sprzeciwu wyszedł z domu i udał się do punktu zbornego w Cytadeli, aby wstąpić do Batalionów Obrony Warszawy. Nie doszedł! Przed Cytadelą upadł w pobliżu niego i eksplodował niemiecki pocisk artyleryjski. Ranny odłamkami pocisku Janek zmarł 31 października 1939. Miał 26 lat – połowę tego ile miała nasza Matka. To znaczy tyle ile ja miałem, kiedy powróciłem do Polski (lata wojny liczę podwójnie).

Rodzeństwo powiedziało mi, że Matka do ostatnich dni wierzyła i mówiła wszystkim, że ja powrócę! Pieczołowicie przechowywała mój ciemny garnitur, gdyż jak twierdziła, „gdy Stacho powróci to będzie miał, w czym chodzić”.

Otrzymałem ten garnitur, ale upłynęło wiele miesięcy nim mogłem go założyć.

Gdy dotarłem do Warszawy, miałem na sobie tylko mundur amerykańskiego żołnierza i żadnych pieniędzy – resztę skromnego dobytku „utraciłem” w czasie wędrówki do Polski.

To był cały mój majątek, z którym mając 20 lat, a właściwie to już 26 lat –lata wojny liczą się, co najmniej podwójnie – rozpoczynałem kolejny etap życia. Nie bałem się! Byłem już życiowo zahartowany. Poza tym miałem oparcie w życzliwej i uczynnej Rodzinie.